NR 35 (1959) 1 WRZEŚNIA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

45 LAT

Wpadnijcie do SALI BHP



ISSN 0208-8045
35 INDEKS 379433
CENA 9,90 zł (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

- ŁUK PRZECIW ROSJI
- BRAND POLSKA. ŚCIEMA CZY PLAN?

SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

My mamy wspólne wartości,

a Wy?



rasa.pl 2b3a1a02cd



Rafał Woś
REDAKTOR NACZELNY

Tych, którzy jeszcze nie byli, zapraszamy do historycznej Sali BHP. To tam, dokładnie w tym miejscu dawnej Stoczni Gdańskiej, urodziła się Solidarność. Tam biło serce strajku z sierpnia 1980 roku. Tam przywódcy strajku negocjowali z krążącymi między Wybrzeżem a Warszawą przedstawicielami rządu PRL. Co ważne, działo się to na oczach strajkującego „stoczniowego ludu", otaczającego ten niewielki, jednopiętrowy budynek ze wszystkich stron – co nadawało strajkowi jeszcze większą demokratyczną dynamikę. To także tam doszło do podpisania Porozumień Sierpniowych, które dały początek niezależnemu samorządnemu związkowi zawodowemu o nazwie „Solidarność". I to kilka kroków od Sali BHP znajdowała się słynna – i uwieczniona na tylu zdjęciach oraz nagraniach – brama stoczni, pod którą gromadzili się w czasie trwania strajku ludzie w geście solidarności z Solidarnością.

Dziś stoczniowa topografia wygląda zupełnie inaczej. Faktyczną produkcję dawno już wygasili liberałowie. Po jednej stronie pejzaż zdominowany został przez masywny budynek Europejskiego Centrum Solidarności – wielkiego muzeum, w którym rządzący na Pomorzu (także liberałowie) za wiele milionów publicznych pieniędzy upowszechniają swoją wersję historii „S" – od początku bardzo specyficzną w swej europejskiej poprawności, mdłym kosmopolityzmie i wypraniu z prawdziwej pracowniczo-ludowej tożsamości. Po drugiej stronie rosną kolejne nowe i drogie apartamenty, coraz mocniej wgryzając się w świetnie położone i cenne tereny postoczniowe. Z prawdziwej „S" pozostała tylko brama witająca gości przybywających od strony miasta, widok starych żurawi na horyzoncie oraz właśnie Sala BHP – śmiesznie mała i łatwa do przeoczenia w opisanym powyżej nowym, fajnopolackim i „europejskim" otoczeniu, ale za to prawdziwa na dwa sposoby. Nie tylko zachowująca wiele ze swojego oryginalnego wystroju, lecz także uparcie i wbrew aktualnym modom broniąca ciągłości dziedzictwa Solidarności, łącząc prostą linią bez zygzaków rok 1980 z naszymi czasami. To opowieść o Solidarności, która powstała jako związek zawodowy, będący jednocześnie i pracowniczy, i patriotyczny – co widać w 21 postulatach z sierpnia 1980 roku, w których obok siebie stały zarówno „uwolnienie więźniów politycznych", „obniżka wieku emerytalnego", jak i „wolne soboty".

Wizyta w Sali BHP pozwala zrozumieć, że Solidarność cały czas dopasowuje walkę o wolność obywatela i godność pracy do nowych wyzwań: do walki z antypracowniczymi skutkami unijnych polityk klimatycznych czy tępienia działalności związkowej w warunkach realnego kapitalizmu.

Wizyta w Sali BHP pozwala zrozumieć, że Solidarność pozostaje pełnoprawnym dziedzicem tamtego dorobku i cały czas dopasowuje tamtą walkę o wolność obywatela i godność pracy do nowych wyzwań: do walki z antypracowniczymi skutkami unijnych polityk klimatycznych czy tępienia działalności związkowej w warunkach realnego kapitalizmu. Mylą się zaś ci, którzy uważają, że historyczna rola „S" skończyła się wraz z rokiem 1989, a teraz chcą, by pamięć o tamtym ludowym polskim powstaniu uschła w relikwię wśród kadzideł palonych w nieodległym geograficznie, ale służącym przecież zupełnie innej politycznej narracji ECS-ie.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

01.09.2026
WYDANIE Nr
35

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA



Zapraszamy do Sali BHP

8 **Sala BHP – serce Solidarności**

12 **Skarby z serca stoczni**

17 **Sala BHP to kolebka Solidarności. Rozmowa z J. Żurawińskim**

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Michał Ossowski

Członek Zarządu: Wojciech Kwidziński

Redaktor naczelny: Rafał Woś
r.wos@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Barbara Andrijanić, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Patryk Stanik, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. Wały Piastowskie 24, pok. 327, 80-855 Gdańsk
nr konta: mBank S.A.
44 1140 1065 0000 7461 0100 1001

Telefon: 58 337 60 44

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Sen o Szmulkach 20

KRAJ

Prawica czeka na porażkę 24
Rekarbonizacja. Powrót do realizmu energetycznego 27
W pułapce krótkowzroczności 28
Brand Polska 32

GOSPODARKA

Warszawa jako zwornik łuku odporności NATO 36

ZAGRANICA

Bułgaria goni Europę 42

SPOŁECZEŃSTWO

Dzieciofobia gorsza od faszyzmu 46

KULTURA

Nie chcę sprzedawać swojej prywatności. Rozmowa z A. Prochownik 50

HISTORIA

Niemcy byli bez litości. 87. rocznica wybuchu II wojny światowej 58

KIESZONKOWY ATLAS ŚWIATA 62

ZWIĄZEK

Co w związku 68
Solidarność w PZL-Świdnik apeluje o kryteria premiujące dla krajowych podmiotów 70

FELIETONY:

OKRASKA 7
GAC 11
SKWIECIŃSKI 39

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO 40
ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 49
KARUZELA Z BLOGERAMI 55
PRAWO 57
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 67
GŁOS REGIONU 73

eprasa.pl 2b3a1a02cd

Jak możesz włączyć się W AKCJĘ REFERENDALNĄ dotyczącą Zielonego Ładu?

1 **Wytnij kartę z wnioskiem**
(na odwrocie)
Możesz pobrać ją także skanując kod QR (poniżej)

2 **Podpisz się**

3 **Zbierz podpisy wśród bliskich i znajomych**

4 **Wyślij kartę z podpisami na adres:**
Komisja Krajowa NSZZ „Solidarność”
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa

NSZZ Solidarność

Fundacja Promocji Solidarności

Udzielam poparcia wnioskowi o poddanie pod referendum ogólnokrajowe sprawy o szczególnym znaczeniu dla państwa i obywateli dotyczącej ograniczenia przez Polskę obecnych przepisów strategii „Zielonego Ładu" i bieżącej polityki klimatycznej UE

zawierającemu następującą propozycję pytania w przedmiotowej sprawie:

Czy jest Pani/Pan

za zobowiązaniem Prezydenta RP, Parlamentu RP, Rządu RP do odrzucenia przez Polskę polityki klimatycznej UE w obecnym kształcie, zawartej w europejskim „Zielonym Ładzie"

Odpowiedzi "Tak" lub "Nie".

Lp.	Imię (imiona) i nazwisko	Adres zamieszkania (miejscowość, ulica, nr domu, nr lokalu)	Nr ewidencyjny PESEL	Podpis
١	٢	٣	٤	٥

Wypełnioną ankietę wyślij na adres:

Komisja Krajowa NSZZ „Solidarność" ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa

eprasa.pl 2b3a1a02cd

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Remigiusz Okraska

Co z tą Polską Solidarną?

Debata podatkowa to triumf Polski Liberalnej nad Polską Solidarną.

Pierwszy wyłom w balcerowiczowskim monolicie to kampania wyborcza 2005 roku. Zamiast spodziewanego starcia obozu centroprawicowo-postsolidarnościowego (PO-PiS) z postkomuną otrzymaliśmy coś innego. Bardzo trafnie definiującego realny podział społeczno-polityczny.

Prawo i Sprawiedliwość zrobiło słynny spot wyborczy z pustą lodówką i przeciwstawieniem Polski Solidarnej temu, co dotychczas dominowało: Polsce Liberalnej. Polsce sytych elit, które wypięły się na resztę.

Nie była to jedyna przyczyna triumfu, ale bardzo w tym pomogła. Także później. Gdy ten obóz łączył przekaz patriotyczny i godnościowy z socjalnym – wygrywał i rządził. A gdy akcentował głównie prawicowość, wyniki były gorsze. Dla Polaków ważny był wymiar symboliczny – ale nie lekceważyli materii.

To nic nowego. Postulaty sierpniowe i cały etos „panny S" to piękna – i skuteczna – synteza żądań chleba i wolności.

Tym gorzej wygląda debata o podatkach. Tusk, jak to Tusk, dowala niezamożnym na wiele sposobów. Nic więc dziwnego, że nie podniesie kwoty wolnej od podatku.

PiS celnie punktuje, że rządowa wizja zmiany podatków nic nie da osobom z niskimi czy przeciętnymi dochodami. Ale już PiS-owskie pomysły podniesienia drugiego progu podatkowego do 180 000 zł rocznie to prezent dla zamożnych.

Mediana zarobków w Polsce to niespełna 8000 zł brutto – czyli połowa społeczeństwa zarabia mniej. Średnia płaca to ok. 9500 brutto – czyli ponad 60% Polaków zarabia mniej.

Zarobki na poziomie ok. 14 000 zł brutto kwalifikują do grona 15–20% osób o najwyższych dochodach. To nie klasa średnia, to elita. Takim ludziom chce się obniżyć podatki. Czym innym jest zwiększanie kwoty wolnej, żeby niezamożni, a nawet średniacy nie byli mocno opodatkowani, czym innym jest robienie prezentów elicie. To tylko osłabia budżet i państwo.

Z kolei Mateusz Morawiecki postanowił osobom z pensją ok. 20 000 zł brutto – to 6% najlepiej zarabiających – podarować rocznie 16 000 zł obniżki podatków. Za to ludzie z pensją 12 000 zł mieliby zyskać wedle jego pomysłów już tylko 250 zł rocznie. O zarabiających jeszcze mniej nie było mowy.

W ogóle coraz mniej jest mowy o właśnie takich osobach. To jakieś 70% wyborców. Nie wygląda mi to na sposób na Tuska, raczej na robienie dobrze jego elektoratowi.

Nie wygląda też na sposób na przelicytowanie Konfederacji. Kopia nie wygra z oryginałem. Ludzie wierzący w wolny rynek, wielbiący bogatych i darwinizm społeczny – i tak nie zagłosują na PiS.

Można uznać, że to przymiarka do koalicji ze Sławomirem Mentzenem. Że trzeba dogadać się z liberałem i robić liberalizm. Oby jednak nie okazało się, że liberał dogada się z innym liberałem – Donaldem Tuskiem – albo będzie po cichu wspierał jego rząd mniejszościowy, a elektorat socjalny zostanie w domu, nie chcąc wybierać między kilkoma klonami Konfederacji.

Obóz patriotyczny wygrywał i rządził pod sztandarem Polski Solidarnej. Powątpiewam, czy wygra i będzie sensownie rządził pod sztandarem Polski solidarnej z zamożnymi.

eprasa.pl 2b3a1a02cd



Temat Tygodnia

Sala BHP. SERCE Solidarności

Dziś Sala BHP jest jednym z najważniejszych miejsc związanych z najnowszą historią Polski. Zanim jednak 31 sierpnia 1980 roku stała się symbolem pokojowej walki o prawa pracownicze i obywatelskie, a także powstania Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność", przeszła burzliwą drogę ściśle związaną z historią terenów, na których się znajduje.

Barbara Michałowska

W latach 1844–1850 rozpoczęto budowę Königliche Werft, czyli Stoczni Królewskiej, która później została przekształcona w Stocznię Cesarską. To wtedy na miejscu obecnego budynku Sali BHP powstał w drugiej połowie XIX wieku pierwszy obiekt drewniany lub drewniano-murowany. W kolejnych dziesięcioleciach był on rozbudowywany.

Dzisiejsza forma budynku powstała w kilku etapach. Przyjmuje się, że obecny kształt obiektu pochodzi z 1902 roku. To dlatego sala składa się z dwóch wyraźnie różnych części: dwukondygnacyjnej części biurowej oraz jednokondygnacyjnej hali.

Początkowo nie był to budynek związany z bezpieczeństwem pracy. Mieścił się tutaj między innymi magazyn torped oraz miejsce montażu uzbrojenia przeznaczonego dla okrętów wojennych. Do dziś na ścianie zachował się napis „Torpedo-Lagerhaus", czyli „maga-

eprasa.pl 2b3a1a02cd



Fot. Archiwum Komisji Krajowej NSZZ „S"

zyn torped". Obiekt pełnił tę funkcję do końca II wojny światowej.

Od Torpedo-Lagerhaus do Sali BHP

Po 1945 roku niemiecka Danziger Werft została przekształcona w polską Stocznię nr 1. W październiku 1947 roku połączono ją ze Stocznią nr 2, powstałą na bazie dawnej Stoczni Schichaua. Tak powstała Stocznia Gdańska.

Moment, który zaważył na historii sali i jej przeznaczeniu, był niezwykle dramatyczny. 13 grudnia 1961 roku, podczas budowy statku „Maria Konopnicka", doszło w Stoczni Gdańskiej do tragicznego pożaru, w którym zginęło 22 pracowników.

„W tym dniu był statek zdawany – że tak powiem – na okoliczność szczelności, miał zamknięte wszystkie bulaje, blindklapy założone [...] bardzo była ograniczona możność ewakuacji, że praktycznie 2–3 miejsca były, gdzie można wyjść na pokład" – wspominał później Zbigniew Grabski, starszy oficer.

„Wszedłem do drugiej ładowni, która graniczy z przednią grodzią maszynowni, tam usłyszałem stukanie ludzi w ścianę małego tunelu, tego, który wybiegał w drugą ładownię, więc wszedłem, zadzwoniłem na wydział, żeby natychmiast przyszedł mistrz ze spawaczami, z tlenem i acetylenem, żeby wypalić dziurę" – wspominał z kolei Zbigniew Kowalewski. Podjęto jednak wówczas inne decyzje.

Jako oficjalną przyczynę tragedii sąd ustalił fakt, że wszelkie prace niebezpieczne nie były oznaczane na kartach pracy znakami ostrzegawczymi. Większość usterek po próbach morskich usuwało się bez kart pracy i bez opracowań technologicznych. To w połączeniu z brakiem odpowiedniego nadzoru i pośpiechem doprowadziło do tragedii.

W następstwie tragedii postanowiono podnieść w zakładzie bezpieczeństwo pracy. Budynek dawnego magazynu torped zaadaptowano na potrzeby Wydziału Kooperacji Stoczni Gdańskiej i szkoleń związanych z bezpieczeństwem pracy. Wtedy też zaczęła funkcjonować nazwa „Sala BHP".

Przez następne lata Sala BHP pełniła więc przede wszystkim funkcje szkoleniowe.

W drugiej połowie lat 70. w budynku zaczęło działać Muzeum Zakładowe Stoczni Gdańskiej, nazywane także Izbą Pamięci. Gromadzono tam między innymi modele statków budowanych w stoczni oraz pamiątki związane z jej działalnością. Muzeum funkcjonowało do 1996 roku, kiedy Stocznia Gdańska została postawiona w stan upadłości.

Symbol

Najważniejszy rozdział historii Sali BHP rozpoczął się 14 sierpnia 1980 roku, kiedy w Stoczni Gdańskiej rozpoczął się strajk.

Sala BHP stała się siedzibą Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. To właśnie tutaj spotykali się przedstawiciele wielu zakładów pracy, które przyłączały się do protestu. W kolejnych dniach Sala BHP stała się jednym z najważniejszych centrów organizacyjnych i politycznych strajku.

Krzysztof Wyszkowski mówił na łamach rocznika „Bibuła" o jeszcze innych funkcjach Sali BHP: „Na tej sali utworzyłem strajkowe biuro prasowe, na tyłach Sali BHP mieściło się wydawnictwo strajkowe. [...]

eprasa.pl 2b3a1a02cd

Ulotki, komunikaty MKS itd. – to wszystko było wytwarzane tutaj".

Skala wydarzenia szybko rosła. Międzyzakładowy Komitet Strajkowy reprezentował setki strajkujących zakładów. W Sali BHP obradowali delegaci, formułowano postulaty, prowadzono rozmowy i przygotowywano informacje o przebiegu protestu. Zachowały się fotografie pokazujące Salę BHP w czasie strajku: między innymi delegatów zakładów zrzeszonych w MKS oraz prezydium MKS.

Lech Zborowski opowiadał z kolei po latach o uruchamianiu prymitywnej drukarni. Według jego wspomnienia w rogu szatni Sali BHP ustawiono stolik, na którym rozpoczęto powielanie materiałów. Stoczniowcy zainteresowali się sposobem drukowania i zaczęli tworzyć własne urządzenia do powielania.

W Sali BHP tętniło serce strajku. Klimat tworzyli także artyści wykonujący tu utwory patriotyczne. Pomału, przez dwa tygodnie strajku, sala stawała się także symbolem wolności.

Kulminacyjnym wydarzeniem związanym z Salą BHP był 31 sierpnia 1980 roku.

Tego dnia w sali podpisano porozumienie pomiędzy strajkującymi a przedstawicielami władz PRL. Porozumienie to stało się symbolem zwycięstwa obywateli nad komunistyczną władzą oraz otworzyło drogę do powstania NSZZ „Solidarność" i do wolności.

Wolność

Po sierpniu 1980 roku Sala BHP pozostała ważnym miejscem pamięci o działalności Solidarności. Jej historia nie zakończyła się wraz z podpisaniem Porozumienia Gdańskiego.

W 1999 roku budynek został wpisany do rejestru zabytków. W grudniu 2004 roku właścicielem historycznego obiektu została Komisja Krajowa NSZZ „Solidarność", co uratowało obiekt przed zniszczeniem i zapomnieniem.

W latach 2006–2010 przeprowadzono generalną rewitalizację budynku. Celem było zachowanie historycznego charakteru miejsca przy jednoczesnym przystosowaniu go do współczesnych funkcji.

Od 2011 roku Sala BHP jest zarządzana w imieniu NSZZ „Solidarność" przez Fundację Promocji Solidarności. Obecnie działa tu również muzeum.

W muzeum można dziś zobaczyć między innymi modele statków, pamiątki związane z pracą stoczniowców, materiały dotyczące historii Stoczni Gdańskiej oraz eksponaty związane z wydarzeniami sierpnia 1980 roku. Jednym z najważniejszych elementów ekspozycji są kopie tablic z 21 postulatami strajkujących.

W ten sposób Sala BHP pełni dziś wiele funkcji: jest jednocześnie zabytkiem i miejscem żywej pamięci historycznej, tętni życiem kulturalnym, odbywają się tu debaty, koncerty i wystawy. To także miejsce prawdziwego dialogu wielu środowisk.

Historia Sali BHP jest jednocześnie w pewnym sensie historią samej Stoczni Gdańskiej: od przemysłu wojennego, przez powojenną industrializację, aż po narodziny Solidarności i przemiany, które doprowadziły do końca systemu komunistycznego w Polsce. Jest również ściśle związana z historią Polski.

Dzisiaj, patrząc na historyczny stół, przy którym podpisano Porozumienie Gdańskie, łatwo zobaczyć przede wszystkim symbol. Za nim kryli się konkretni ludzie, ich strach, nadzieje, zmęczenie, spory, determinacja i odwaga.

DZISIAJ, PATRZĄC NA HISTORYCZNY STÓŁ, PRZY KTÓRYM PODPISANO POROZUMIENIE GDAŃSKIE, ŁATWO ZOBACZYĆ PRZEDE WSZYSTKIM SYMBOL. ZA NIM KRYLI SIĘ KONKRETNI LUDZIE, ICH STRACH, NADZIEJE, ZMĘCZENIE, SPORY, DETERMINACJA I ODWAGA.

Znaczenie Sali BHP sięga jednak dalej. O jej wartości decydują również późniejsze decyzje z nią związane, a przede wszystkim fakt, że Solidarność postanowiła ocalić od zapomnienia ten historyczny obiekt.

***Pisząc tekst, korzystałam m.in. z informacji dostępnych na oficjalnej stronie Sali BHP, na portalu Zabytek.pl oraz z materiałów zebranych przez IPN oraz Region Gdański NSZZ „Solidarność".**

eprasa.pl 2b3a1a02cd

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Karol Gac

Niezapłacony rachunek

W wyniku II wojny światowej Polska straciła ponad 5 mln obywateli, a szkody szacuje się na około 6,22 bln złotych. Jednak kolejne rządy w Niemczech unikają tematu reparacji dla naszego kraju i udają, że wszystko jest w najlepszym porządku. Nie jest.

1 września wracają obrazy, które wryły się w naszą pamięć: Westerplatte, bombardowany Wieluń, płonące miasta, kolumny uchodźców, egzekucje, łapanki, Palmiry, Auschwitz, wysiedlenia, roboty przymusowe, rabunek polskiego majątku, zniszczona Warszawa. Kolejna rocznica niemieckiej napaści na Polskę jest jednak nie tylko okazją do wspominania przeszłości. To również doskonały moment, by pytać o przyszłość oraz przypomnieć bardzo prosty fakt: Niemcy w żaden istotny sposób nie zadośćuczyniły Polsce za krzywdy, które na nas sprowadziły. Zamiast tego otrzymaliśmy narrację o „pojednaniu", które sprowadzało się do kilku symbolicznych gestów. Problem w tym, że pojednanie nie oznacza amnezji.

Nie chodzi – jak próbują nam wmówić niektórzy – o jakąś antyniemiecką obsesję czy fobię. Chodzi o rzecz fundamentalną – o odpowiedzialność. Jeżeli agresor wyrządził innemu państwu niewyobrażalne szkody, to jego odpowiedzialność nie może się po prostu kończyć na rocznicowych przemówieniach, wieńcach i zapewnieniach, jak bardzo mu przykro.

Podczas II wojny światowej ponieśliśmy straty trudne do porównania z doświadczeniem większości państw europejskich. Miliony zabitych, zburzone miasta, zniszczony przemysł i infrastruktura, zrabowane dzieła sztuki, wymordowane elity, niewolnicza praca i konsekwencje demograficzne odczuwalne przez dziesięciolecia. Młodemu państwu polskiemu w bestialski sposób przetrącono kręgosłup, przez co do dzisiaj borykamy się z różnorakimi konsekwencjami.

Cztery lata temu zaprezentowano raport, w którym oszacowano szkody poniesione przez Polskę na 6 bilionów 220 miliardów 609 milionów złotych. Można oczywiście dyskutować o metodologii i końcowych wynikach badań, ale trudno zaakceptować sytuację, w której rozmowa w ogóle się nie odbywa, a takie stanowisko od dekad prezentuje Berlin. Trzeba przy tym przyznać, że jest to coś, co łączy absolutnie wszystkie strony sceny politycznej w Niemczech.

To bardzo wygodne podejście. Zwłaszcza gdy czas pracuje na korzyść Niemiec, o czym przekonał się jakiś czas temu w Berlinie Donald Tusk. Z każdym rokiem odchodzą ostatni świadkowie okupacji. Za kilka czy maksymalnie kilkanaście lat niemieckie zbrodnie będą już wyłącznie doświadczeniem odziedziczonym.

Sprowadzanie sporu reparacyjnego wyłącznie do gigantycznej kwoty jest wygodne dla przeciwników roszczeń. Tyle że sprawa jest znacznie szersza. Polskie oczekiwania obejmowały także rekompensaty dla żyjących ofiar i ich rodzin, zwrot zrabowanych dóbr kultury oraz systemowe działania na rzecz właściwego przedstawiania Niemcom skali krzywd wyrządzonych Polsce. Do dzisiaj w Berlinie nie ma nawet godnego pomnika poświęconego polskim ofiarom II wojny światowej.

Pytanie o reparacje jest m.in. pytaniem o wiarygodność. Jeżeli współczesne Niemcy chcą budować swoją pozycję na przekonaniu, że wyciągnęły wnioski z historii, to powinny być gotowe nie tylko do opowiadania, ale również do rozmowy o jej konsekwencjach.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

Skarby z serca stoczni

Odgrywała różne role – zakładowego muzeum, kina, a także sali szkoleń dla stoczniowców. Stąd jej nazwa od lat 60. XX wieku, znana na całym świecie – Sala BHP. Dziś to miejsce **odwiedzane przez dziesiątki tysięcy osób rocznie**, w którym można dotknąć prawdziwej historii. Zabytek, muzeum i pomnik historii, w którym można jednak poczuć się bardzo swobodnie i odetchnąć atmosferą wolności i solidarności. Jakie skarby kryje?

Adam Chmielecki

We wspomnieniach uczestników pamiętnego strajku w sierpniu 1980 r. w Stoczni Gdańskiej często przewija się podobny motyw. Mowa o szczególnej atmosferze, poczuciu wspólnoty, wolności i solidarności, które towarzyszyły strajkującym. „Czuliśmy się jak w innym, wolnym świecie" – często słyszą historycy i dziennikarze rozmawiający z uczestnikami wielkiego strajku.

Duch wolnej Polski

Przynajmniej część tamtej atmosfery można poczuć także dziś, odwiedzając historyczną Salę BHP. Jej odbudowa kilkanaście lat temu została przeprowadzona w taki sposób, aby maksymalnie zachować lub przywrócić substancję materialną budynku i jego wystrój z sierpnia 1980 r. Ten cel udało się osiągnąć, a jeśli ktoś pamięta Salę BHP sprzed 46 lat lub widział historyczne zdjęcia, od razu poczuje się jak w dniu podpisania Porozumień Gdańskich – charakterystyczny stół prezydialny, krzyż i orzeł na ścianie, figura Solidariusza, czyli robotnika w stoczniowym kasku z rękami ułożonymi w geście siły i triumfu. Także ciężkie drewniane stoły i krzesła w dużej mierze są oryginalnymi pamiątkami z tamtego czasu. Tylko w miejscu okien, przez które w 1980 r. spoglądali na przebieg negocjacji ci, którzy nie zmieścili się w środku, znajdują się zdjęcia podkreślające industrialny i stoczniowy charakter terenów wokół Sali BHP. Wypisz, wymaluj, jest to gotowa scenografia do filmu o narodzinach największego związku zawodowego i ruchu społecznego w dziejach świata. To tym większa wartość, że na dawnych terenach stoczniowych od lat wyrasta nowa dzielnica Gdańska – kosztem historycznej zabudowy, z której niewiele już pozostało. Sala BHP jest tu jednym z nielicznych chlubnych wyjątków.

Ale nie tylko sama substancja budynku zapewnia ową specyficzną, wolnościową atmosferę. Ot, spójrzmy chociażby w górę. Pod sufitem wisi kilkadziesiąt oryginalnych sztandarów różnych organizacji związkowych Solidarności z całej Polski. Przewijają się nazwy strajkujących zakładów i hasła wyrażające wartości ważne dla milionów Polaków – solidarność, sprawiedliwość, praca, godność, wiara. I obowiązkowy biały orzeł, na którego wizerunkach wytrawne oko dostrzeże bardzo często... złotą koronę na głowie. Tak, strajkujący w 1980 r. robotnicy, potem organizujący nowy, niezależny związek zawodowy, myśleli kategoriami narodowej niepodległości i osobistej wolności, mimo że funkcjonowali w totalitarnym państwie, w którym orzeł bez korony w godle świad-

> PROCES WYBORU 896 DELEGATÓW REPREZENTUJĄCYCH BLISKO 10 MILIONÓW CZŁONKÓW „S" DLA WIELU POLAKÓW ŻYJĄCYCH W TOTALITARNYM PAŃSTWIE KOMUNISTYCZNYM BYŁ PIERWSZĄ MOŻLIWOŚCIĄ UDZIAŁU W PROCESACH DEMOKRATYCZNYCH.

eprasa.pl 2b3a1a02cd



Fot. autor (3)

Dla wielu zwiedzających kolorowe stoczniowe kaski to najlepsze tło do obowiązkowego selfie, zwłaszcza gdy Salę BHP zwiedza się z rodziną lub przyjaciółmi

czył o podległości wobec sowieckiej metropolii. Te korony na głowach orłów na sztandarach to niewielki rozmiarami, ale istotny symbol pokazujący przełomową rolę Solidarności w najnowszej historii Polski.

Serce stoczni, „tej" stoczni

Stocznia Gdańska jest często nazywana kolebką Solidarności. W głównym pomieszczeniu budynku (tzw. dużej sali BHP) można poznać specyfikę przemysłu stoczniowego w Gdańsku, w tym szczególnie Stoczni Gdańskiej, m.in. dzięki słynnej dioramie stoczniowej. To uzupełniona efektami świetlnymi i dźwiękowymi przestrzenna makieta terenów stoczniowych o powierzchni 12 m^2. Przedstawia w skali 1:87 historyczną część stoczni z układem ulic i zabudową istniejącą aż do połowy lat 90. w najważniejszym momencie z historii zakładu – zakończenia strajku w dniu 31 sierpnia 1980 r. To wtedy faktycznie narodziła się Solidarność oraz rozpoczął się proces upadku komunizmu w Europie Środkowej i Wschodniej. Dzięki dioramie odwiedzający Salę BHP mogą poznać nieistniejące już historyczne budynki (np. szpitala i stołówki stoczniowej) oraz „ogarnąć" topografię terenów stoczniowych, co może być dobrym wstępem do dalszej wycieczki po obecnym Młodym Mieście.

Stoczniowy obraz uzupełniają dwie makiety kluczowych wydziałów kadłubowych K-2 i K-3 (stan na lata 60. XX w.) – co ważne, oba znajdują się na terenach innych przedwojennych stoczni, z których połączenia powstała Stocznia Gdańska (dawnej Stoczni Cesarskiej i dawnej Stoczni Schichaua). W Muzeum Sali BHP można również obejrzeć modele statków produkowanych

eprasa.pl 2b3a1a02cd



w Stoczni Gdańskiej, elementy ich wyposażenia oraz urządzenia łączności i komunikacji prezentujące myśl techniczną i inżynieryjną drugiej połowy XX w.

Historia zatrzymana w kaskach

Kask ochronny był nieodłącznym elementem ubioru stoczniowców, hutników, górników – ludzi ciężkiej pracy, którzy rozpoczęli strajki w 1980 r. i współtworzyli Solidarność. Kolor kasku, oznakowanie poziome lub pionowe, numer ewidencyjny i symbol wydziału oraz dodatkowe elementy i litery określały status i funkcję pracownika, i jego przynależność organizacyjną. Według systemu obowiązującego od lat 70. w Stoczni Gdańskiej kolor żółty oznaczał pracownika fizycznego, zielony – mistrza, zielony z białym pasem – kierownika, pomarańczowy – poddźwigowego lub podsuwnicowego, niebieski – członka dyrekcji, biały – pracownika BHP, gościa lub przedstawiciela armatora. Ich historię można poznać na specjalnej ścianie znajdującej się na półpiętrze, tuż przed wejściem do sklepiku. Dla wielu zwiedzających kolorowe stoczniowe kaski to także najlepsze tło do obowiązkowego selfie, zwłaszcza gdy Salę BHP zwiedza się z rodziną lub przyjaciółmi.

„Matka Solidarności”

Jak wiadomo, historyczny strajk rozpoczął się 14 sierpnia 1980 r. w obronie Anny Walentynowicz, wieloletniej spawaczki i suwnicowej, powszechnie znanej i cenionej wśród załogi. Walentynowicz za swoje zaangażowanie w Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża została zwolniona z pracy w stoczni 7 sierpnia, zaledwie kilka miesięcy przed planowanym przejściem na emeryturę. W uznaniu jej roli w powstaniu Związku oraz wierności postulatom Sierpnia ’80 została już po 1989 r. nazwana przez historyków „Anną Solidarność” i „Matką Solidarności”. W Sali BHP nie mogło zabraknąć jej upamiętnienia – to popiersie oraz zdjęcie na tle zrujnowanej hali Wydziału Instalacji Okrętowych W-2, w której pracowała, wykonane przez znanego gdańskiego fotografika Michała Szlagę na kilka lat przed jej śmiercią.

eprasa.pl 2b3a1a02cd



Historia Związku

Wspomnienie Anny Walentynowicz znajduje się w tzw. małej sali BHP, gdzie na odwiedzających czeka opowieść o historii Solidarności. Często słyszymy, że „bez ofiary Grudnia ’70 nie byłoby Sierpnia ’80”. W wyniku krwawego stłumienia protestów robotniczych na Wybrzeżu w 1970 r. zginęło ponad 40 osób, w tym 6 w Gdańsku. Upamiętnienie ofiar tej komunistycznej zbrodni było jednym z postulatów strajkujących w 1980 roku, a jednym z przejawów tej pamięci jest Pomnik Poległych Stoczniowców 1970, stojący niedaleko Sali BHP. W samej sali znajduje się makieta gipsowa Pomnika Ofiar Grudnia 1970, stojącego w Gdyni. Kształt przypominający cyfrę 7 w projekcie pomnika przedstawia upadającą postać z plecami przestrzelonymi kulami. W Sali BHP znajduje się również krzyż z imionami i nazwiskami wszystkich ofiar Grudnia ’70, w tym Zbyszka Godlewskiego, którego historia zainspirowała twórców „Ballady o Janku Wiśniewskim”.

Wyjątkowym eksponatem jest flaga Solidarności z podpisami uczestników i gości I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność”, który odbył się jesienią 1981 r. w Hali „Olivia” w Gdańsku. Pamiętajmy, że Solidarność była pierwszą niezależną organizacją społeczną w Polsce po II wojnie światowej. Proces wyboru 896 delegatów reprezentujących blisko 10 milionów członków „S” dla wielu Polaków żyjących w totalitarnym państwie komunistycznym był pierwszą możliwością udziału w procesach demokratycznych. I KZD przyjął dokumenty programowe Związku, m.in. program „Samorządna Rzeczpospolita” i „Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej”, które wyrażało solidarność i poparcie dla robotników innych państw zniewolonej Europy Środkowej i Wschodniej.

A mury runą!

Przestrzeń wolności i prawdy, którą przyniósł Sierpień ’80, w kulturze wypełnili twórcy i bardowie Solidarności – m.in. Andrzej Garczarek, Przemysław Gintrowski, Jan Krzysztof Kelus, Maciej Pietrzyk i Jacek Kaczmarski, który w nieoficjalnym hymnie Solidarności profetycznie zapewniał, że „mury runą”. W Gdańsku stoczniowców i portowców wspierali swoją twórczością m.in. Zbigniew Stefański i Antoni „Tolek” Filipkowski, autor „Ballady partyzanckiej” z czasów stanu wojennego. Ten ostatni przekazał do Sali BHP gitarę, którą w latach 80. zagrzewał do wytrwałości podczas niezapomnianych koncertów w gdańskim porcie i stoczni oraz dodawał otuchy internowanym związkowcom w obozie w Strzebielinku. Instrument prezentowany w Sali BHP towarzyszył „Tolkowi” także podczas koncertów w Norwegii na zaproszenie Solidarności Polsko-Norweskiej, a można go było również usłyszeć na falach Radia Wolna Europa. To – wcale nie niemy – świadek „portowców gdańskich drogi

eprasa.pl 2b3a1a02cd

do wolności", a także symbol wspólnoty i wartości, które swoją twórczością budowali niezapomniani bardowie Solidarności.

ŚWIADECTWEM WALKI, PROWADZONEJ NIEMAL DO KOŃCA SYSTEMU W 1989 R., SĄ SOLIDARNOŚCIOWE ZNACZKI I WPINKI WRAZ Z MATRYCAMI O TEMATYCE SOLIDARNOŚCIOWEJ I ANTYSOCJALISTYCZNEJ, PRODUKOWANE NIELEGALNIE W OKRESIE STANU WOJENNEGO.

Solidarność żyje!

Zwycięstwo Solidarności w latach 80. nie przyszło jednak od razu i w łatwy sposób. W 1981 r. komunistyczny reżim wprowadził stan wojenny, wsadzając do obozów internowania i więzień ponad 10 tysięcy osób. Świadectwem tamtej walki, prowadzonej niemal do końca systemu w 1989 r., są solidarnościowe znaczki i wpinki wraz z matrycami o tematyce solidarnościowej i antysocjalistycznej, produkowane nielegalnie w okresie stanu wojennego, oryginalne, ręczne drewniane stemple i powielacze do produkcji ulotek i bezdebitowej prasy, więzienne koszule i pamiątki z obozów internowania, wykonywane przez osoby internowane i uwięzione. Wśród ofiar śmiertelnych reżimu był męczennik za wiarę, w latach 80. kapelan, a obecnie patron NSZZ „Solidarność" bł. ks. Jerzy Popiełuszko. Jego ikoniczne zdjęcie również znajduje się w Sali BHP.

W latach 80. stoczniowe warsztaty służyły nie tylko jako stanowiska pracy, ale również jako miejsca spotkań oraz druku i kolportażu związkowych materiałów. W stanie wojennym nielegalnie produkowane ulotki przekonywały, że „Solidarność żyje!", a „WRON-a skona". Niemal obowiązkowe wyposażenie takich miejsc stanowiły nie tylko metalowe szafki pracownicze, stoczniowe kaski i ręczny megafon, ale także powielacz spirytusowy, maszyna do pisania, ramka do kopiowania (tzw. sito) i materiały eksploatacyjne. Przy dobrej organizacji można było zdobyć wyposażenie ciemni fotograficznej, w tym powiększalnik z głowicą do fotografii monochromatycznej, koreks do negatywów, kuwety, aparaty małoobrazkowe oraz lampę ciemniową. Taki stoczniowy warsztat, w pełni wyposażony w oryginalne eksponaty z epoki, można znaleźć w tylnej sieni Sali BHP.

Natomiast w tzw. małej sali BHP znajdują się symbole reżimu, który prowadził wojnę z własnym narodem – np. łuski granatów z gazem łzawiącym typu UGŁ-200 i kaski ochronne funkcjonariuszy ZOMO, znienawidzonej przez Polaków formacji, używanej do pacyfikowania pokojowych protestów i manifestacji patriotycznych. Historia Solidarności bez pokazania przejawów zła, które należało pokonać, byłaby niepełna.

Jak Lenin komunę obalał...

Jak wiadomo, przez kilka dekad Stocznia Gdańska funkcjonowała niejako w cieniu Włodzimierza Lenina. Wódz rewolucji bolszewickiej był patronem zakładu. Symbolem tej epoki w życiu stoczni jest m.in. urna z ziemią z Uljanowska – miejsca narodzin Lenina – otrzymana przez delegację Stoczni Gdańskiej w Związku Sowieckim w 1970 r. z okazji stulecia urodzin patrona. W sieni znajduje się także popiersie Lenina, rekwizyt będący spadkiem po kręconym tu filmie. Takie eksponaty stanowią swoistą przestrogę w czasach niemal powszechnej amnezji historycznej.

W TZW. MAŁEJ SALI BHP ZNAJDUJĄ SIĘ SYMBOLE REŻIMU, KTÓRY PROWADZIŁ WOJNĘ Z WŁASNYM NARODEM – NP. ŁUSKI GRANATÓW Z GAZEM ŁZAWIĄCYM TYPU UGŁ-200 I KASKI OCHRONNE FUNKCJONARIUSZY ZOMO.

Na szczęście nie mogą zdominować i nie dominują nad pamiątkami, wręcz relikwiami Solidarności dostępnymi dla każdego w Sali BHP. A historia nie okazała się dla „wodza rewolucji" łaskawa. W końcu to przecież stocznia jego imienia komunę obaliła...

eprasa.pl 2b3a1a02cd

Sala BHP to kolebka Solidarności

– Jeżeli coś ważnego działo się w Stoczni Gdańskiej, to działo się także w Sali BHP. Tu przybywali wielcy tego świata. Kiedy odbywał się koncert Jeana-Michela Jarre'a, to w Sali BHP była jego konferencja, kiedy było Euro 2012, to przyjechał tu Michel Platini. Utrzymanie takiego budynku przez cały rok, przez siedem dni w tygodniu, to są oczywiście duże koszty, ale dla mnie to miejsce jest warte każdych pieniędzy. To jest kolebka Solidarności – mówi przewodnik **Jarosław Żurawiński** w rozmowie z **Marcinem Krzeszowcem**.

– Sala BHP Stoczni Gdańskiej to miejsce, gdzie 31 sierpnia 1980 roku podpisano Porozumienie Gdańskie. Tego dnia Solidarność świętuje swoje urodziny, a główne obchody odbywają się właśnie w tej Sali. Jaka jest historia tego budynku, kiedy powstał i jaką rolę pełnił w przeszłości?

– To jest budynek historyczny wywodzący się jeszcze z niemieckiej



Fot. M. Krzeszowiec

eprasa.pl 2b3a1a02cd

Stoczni Cesarskiej. Duża sala to jest właśnie ta oryginalna część, która powstała około 1889 roku, natomiast piętro dobudowano prawdopodobnie w roku 1902. Budynek został zbudowany bardzo ciekawie ze względu na konstrukcję – mury są grube, podpiwniczone, ale dach jest lekki i drewniany. Kiedyś nie było żadnych okien i instalacji, ponieważ składowano tutaj bardzo delikatne głowice torpedowe. Gdyby doszło do eksplozji, to zerwałoby dach, a cały budynek by się ostał. Po tragicznym wypadku na statku „Maria Konopnicka" w latach 60., podczas którego zginęły 22 osoby, budynek został przebudowany i od tamtego czasu zaczął pełnić rolę sali BHP – stąd właśnie jego nazwa.

– Dlaczego w sierpniu 1980 r. akurat tutaj obradował Międzyzakładowy Komitet Strajkowy? Zakład był przecież ogromny. Na pewno można było znaleźć inne miejsce.

– Pierwsza wersja była taka, że rozmowy z komunistami będą się toczyły w budynku dyrekcji Stoczni Gdańskiej. Bano się jednak, że ludzie mogą zostać tam zamknięci. Myślę, że wybrano Salę BHP dlatego, że był to budynek po prostu bezpieczniejszy dla strajkujących – tutaj nie było takiego niebezpieczeństwa. Poza tym było to miejsce strategiczne ze względu na bliskość do Bramy nr 2, przez którą stoczniowcy opuszczali zakład.

– Sala BHP od grudnia 2004 roku jest własnością Komisji Krajowej „S". 20 lat temu Solidarność rozpoczęła tutaj trwający kilka lat remont. Dlaczego rewitalizacja trwała cztery lata? Czy to była gruntowna odnowa budynku, czy kosmetyczna, która musiała jednak trochę potrwać, ponieważ budynek jest zabytkiem?

– Z tego, co wiem, to chodziło między innymi o kwestie finansowe. Sam kiedyś zadawałem to pytanie i rozmawiałem z ludźmi, którzy mocno pracowali nad tym, żeby uratować ten budynek, bo był w bardzo złym stanie technicznym. W przeszłości, kiedy otwierało się tu okno, nie było pewności, że się je potem zamknie. Pamiętam taką sytuację z lat 2000–2006, gdy pracowałem w Sali BHP jako przewodnik na wystawie „Drogi do Wolności". Pewnego razu wystawa została w trakcie sezonu zamknięta, bo budynek nie spełniał zasad bezpieczeństwa. Sala była w naprawdę kiepskim stanie, a koszt renowacji był jak na tamte czasy bardzo wysoki, wynosił 11 milionów złotych. Drugim powodem były kwestie nadzoru konserwatorskiego, który zawsze spowalnia prace remontowe, no i oczywiście plan, żeby jak najpełniej oddać historyczny charakter tego miejsca.

> ROBOTNIK Z RĘKOMA UNIESIONYMI W GEŚCIE ZWYCIĘSTWA STAŁ NA STOLE, NA KTÓRYM PODPISYWANO POROZUMIENIE SIERPNIOWE. LECH WAŁĘSA ZABRAŁ POTEM TĘ FIGURKĘ WRAZ Z DŁUGOPISEM – SĄ ONE DZIŚ EKSPONOWANE NA JASNEJ GÓRZE.

– Muzeum Sali BHP jest podzielone na dwa główne pomieszczenia – dużą salę BHP, w której podpisano Porozumienie Gdańskie, oraz małą salę BHP. W tej mniejszej z sufitu zwisają sztandary, są w niej też popiersie Anny Walentynowicz i krzyż „Polegli w Grudniu 1970". Jakie funkcje pełniło to pomieszczenie w czasie sierpniowego strajku?

– Oczywiście w dużej sali podpisano Porozumienie Gdańskie i to było najbardziej znane wydarzenie, ale nie jedyne. Warto wspomnieć, że po strajku okupacyjnym z 1981 roku działała tu na przykład Komisja Weryfikacyjna, która prześwietlała tysiące ludzi pod kątem udziału w strajku, a efektem tego były masowe represje.

Jeśli chodzi zaś o małą salę, to były to kuluary, do których nie każdy mógł

> MÓWIMY O GDAŃSKU JAKO O LOKALNYM POROZUMIENIU, A ONO PRZECIEŻ SPOWODOWAŁO, ŻE TE 21 POSTULATÓW PRZYJĘTO POTEM W CAŁYM KRAJU.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

wejść i w których ustalano, jak będzie wyglądać porozumienie z komisją rządową. Dopiero na końcu ogłaszano to na forum ogólnym.

Najciekawsze jest jednak to, że decyzje w sprawie strajku zapadały również na stołówce, na wydziałach, tam, gdzie ludzie pilnowali Stoczni – w tych wszystkich miejscach, w których załoga rozmawiała ze sobą w sposób bezpośredni. To nie było tak, że jedna osoba podejmowała decyzje.

Zapominamy też o innej kwestii. Mówimy o Porozumieniu Gdańskim, ale należy podkreślić, że w tym strajku uczestniczyły 734 zakłady pracy – zarówno te duże – jak stocznie i porty – jak i mniejsze, ulokowane w głębi kraju. To były PGR-y, spółdzielnie, szkoły, uczelnie, instytuty... Dziś to trochę nam umyka. Mówimy o Gdańsku jako o lokalnym porozumieniu, a ono przecież spowodowało, że te 21 postulatów przyjęto potem w całym kraju. Podpisano też trzy inne porozumienia w Szczecinie, Jastrzębiu-Zdroju i Dąbrowie Górniczej. I tak powstała Solidarność.

– Czy Sala BHP stara się aktualnie pozyskać jakieś nowe eksponaty? Właścicielowi marzyłoby się na pewno przeniesienie tutaj oryginalnych tablic z listą 21 postulatów MKS.

– Co do samych tablic, to ich pozyskanie jest w tej chwili zbyt trudne. Natomiast jeśli chodzi o eksponaty – to oczywiście, że tak. Po to jest to muzeum. Cały czas trwają w tym obszarze działania. Na przykład stół prezydialny wygląda dziś już inaczej niż miesiąc temu.

– Skoro mowa o eksponatach, to mógłby Pan nam przybliżyć historię tego drewnianego ludzika z zaciśniętymi pięściami? Skąd on się wziął i co symbolizuje?

– Ten robotnik z rękoma uniesionymi w geście zwycięstwa stał na stole, na którym podpisywano Porozumienie Sierpniowe. Widać to zresztą na zdjęciach z Sali BHP. Jest to nieco ponad 30-centymetrowa figurka wykonana z jasnego drewna, wyrzeźbiona tutaj, w Sali BHP, przez jednego z robotników. Lech Wałęsa zabrał potem tę figurkę wraz z długopisem – są one dziś eksponowane na Jasnej Górze.

Natomiast ta duża, powiększona rzeźba robotnika powstała już na zlecenie Sali BHP w 2010 roku.

MODEL „DARU MŁODZIEŻY” NIE SŁUŻYŁ DO TEGO, ABY GO PODZIWIAĆ, JAK ROBIMY TO OBECNIE, TYLKO DO BADAŃ.

– W dużej sali na podwyższeniu stoi także model „Daru Młodzieży”. Ten statek niecałą dekadę temu z okazji 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości popłynął w rejs dookoła świata.

– To bardzo ciekawy eksponat, bo to nie jest model „Daru Młodzieży” w takiej wersji, w jakiej on faktycznie powstał. To jest ciężki, przeszło 4-metrowy pierwowzór wykonany w nietypowej skali – 1 do 25. Nietypowej, bo normalne modele stoczniowe powstają w skali 1 do 100 czy 1 do 50. Ma również taką charakterystyczną rufę podobną do „Daru Pomorza”, na którym się wówczas wzorowano.

Warto podkreślić, że ten model nie służył do tego, aby go podziwiać, jak robimy to obecnie, tylko do badań – do wodowania w basenie i sprawdzania, jak jednostka zachowuje się w wodzie. Dziś używa się do tego symulacji komputerowych, ale kiedyś robiono to właśnie w taki fizyczny sposób. W czasie badań okazało się, że kadłub potrzebuje przeprojektowania. Dlatego w Sali BHP mamy także drugi model „Daru Młodzieży”, mniej więcej o połowę mniejszy, i to jest właśnie rzeczywisty obraz tego, jak ta jednostka wyglądała po wyjściu ze Stoczni.

Jako ciekawostkę mogę dodać, że ten pierwszy model statku był tutaj wyeksponowany na ścianie szczytowej podczas podpisania Porozumień Sierpniowych. Każdy, kto wchodził do Sali, mijał ten statek, co również widać na zdjęciach i filmach.

– Na koniec zapytam o pieniądze. Utrzymanie Muzeum Sali BHP to duży wysiłek finansowy?

– Moim zdaniem Salę BHP warto utrzymywać i zwiedzać chociażby z tego względu, że jest to jedyny zachowany, ogólnodostępny budynek świadczący o historii nie tylko sierpnia 1980 roku, lecz także wielu innych ważnych wydarzeń. Jeżeli coś istotnego działo się w Stoczni Gdańskiej, to działo się to także w Sali BHP. Tu przybywali wielcy tego świata. Kiedy odbywał się koncert Jeana-Michela Jarre'a, to w Sali BHP była jego konferencja, kiedy było Euro 2012, to przyjechał tu Michel Platini. Utrzymanie takiego budynku przez cały rok, przez siedem dni w tygodniu, to są oczywiście duże koszty, ale dla mnie to miejsce jest warte każdych pieniędzy. To jest kolebka Solidarności.

Jarosław Żurawiński – były stoczniowiec i uczestnik wydarzeń z lat 1980–1989 w Stoczni Gdańskiej. Obecnie prezes zarządu Morskiej Fundacji Historycznej i współpracownik Fundacji Promocji Solidarności, w której pełni funkcję przewodnika turystycznego po Sali BHP i terenach stoczniowych.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Szmulowizna należała niegdyś do najbardziej niebezpiecznych zakątków Warszawy. Choć dziś w dużej mierze uległa „hipsteryzacji” i spacerowanie po jej ulicach nie wiąże się już z większym ryzykiem, wciąż otacza ją aura dawnej legendy. Atmosferę Szmulek z początku lat 90. znakomicie uchwyciła Magdalena Umięcka w reportażu opublikowanym w **nr. 4 (175) „Tygodnika Solidarność” z 24 stycznia 1992 roku**. Sprawnym piórem i z reporterską wyobraźnią odmalowała słynne Szmulki oraz codzienność ich mieszkańców. Tekst przypominamy z okazji 45-lecia naszego pisma.

Sen o Szmulkach

Magdalena Umięcka

Przejście podziemne przy bazarze Różyckiego.

„Nie ma cwaniaka nad Warszawiaka” – chrypi magnetofon ulicznego sprzedawcy kaset.

Przed bazarem – od wieków ci sami sprzedawcy wentyli do rowerów, niby-rasowych szczeniąt, kobiety oganiające od much lepkie, nieapetyczne pączki.

Wokół – stare, czynszowe kamienice, ogołocone z tynku, ślepe powybijanymi oknami, szczerzące nadkruszone cegły jak praski żul wybite zęby. W niektórych widać miejsca po kulach. Na kilku jeszcze niedawno odczytać można było „3 x TAK”...

Niekiedy dół kamienicy puszy się nadobnie odremontowany – oto nowy, światowy sklep, świetlna reklama. Ale to tylko jaskrawa szminka; Pragi nie zmieni.

To inny świat

Są ludzie – mieszkańcy lewobrzeżnej Warszawy – co nigdy w życiu na osławionych Szmulkach nie byli. Boją się, brzydzą. To inny świat.

I rzeczywiście. Od zarania była to dzielnica uboga, robotnicza, brzydka. Zawsze zaniedbana i traktowana po macoszemu. Gdy przedwojenna lewobrzeżna Warszawa szczyciła się już wodociągami i oświetleniem, tu ciągle królowały „kocie łby” i rynsztoki. Za to po wojnie, stosunkowo mało zniszczona, przyciągała mieszkańców. Zagęściło się w kamieniczkach – a któż by myślał o remontach, gdy cały naród na nowo budował stolicę! Gdzieniegdzie, ni przypiął, ni przyłatał, wciśnięto socrealistycznego dziwoląga – ot, choćby „długas” przy Kijowskiej. Dziś owe dziwolągi, pokryte patyną czasu – szarym, smętnym kurzem – nawet nie bardzo odbijają od otoczenia.

Samo życie...

Pijany wymiotuje w bramie. Obok czterech dwunastolatków pali papierosy, dzieląc się sprawiedliwie butelką alpagi. Na podwórku, w biały dzień, oparta o śmietnik kopuluje pięćdziesięcioletnia na oko para.

To prawdziwe oblicze Szmulek, ale nie jedyne. Obok przedstawicieli „lumpenproletariatu” usiłują tu żyć normalnie normalni ludzie. Mieszkają w sąsiedztwie pijanych wrzasków, nie dziwiąc się już, że mają w bramie metę. – Tu wszędzie są niewidzialne oczy i uszy – mówi „normalny” mieszkaniec. – Znają z widzenia tubylców i nie zaczepiają nawet w środku nocy. Bezpiecznie jest być z żulami na cześć.

eprasa.pl 2b3a1a02cd


Przejście podziemne przy bazarze Różyckiego.
Ale ma zmienioną nazwę warszawiacy — obrzydł magistrat ulicznego sprzedawcy bazar.
Przed bazarem — od wielkiw ci sami sprzedawcy wentyli do rowerów, niby-rozwory zaszyrmuł, kobiety ogarniające od much tepkie, niepotrzebne paczki.
Praga-Północ. Szmulki. Zielenia. Mordownia. Targ. Brzeska. Zabkowska. Noże w powietrzu latają. Cygánie. Pijacy. Złodzieje.
Sen o Szmulkach
Serce Szmulek

Tak tu już jest, pan inżynier wracający z pracy mija się z panem monterem idącym na cowieczorną wódeczkę. I wymieniają uprzejmości.

Oczywiście uprzejmość ma swoje granice. Nie można na nią liczyć, znalazłszy się wieczorem w osławionym „trójkącie bermudzkim", zwanym też „trójkątem śmierci" – okolicach Stalowej, Szwedzkiej, Wileńskiej. Jakiś czas temu przeleżał tam pewien człowiek trzy dni w bramie – wszyscy myśleli, że pijany. A on akurat nie był pijany, tylko miał nóż w brzuchu.

I to nic na Pradze osobliwego. Nie są też osobliwe włamania, choć często niefachowe. Włamie się taki do sklepu, naje, wypije butelkę wódki i uśnie. Albo ukradnie radio za 3,5 miliona i spuści na bazarze za 500 tys. Byle na codzienną flaszkę starczyło.

Przed Zamkiem Zakonnic – tak określa się tu Dom Pomocy dla Dorosłych sióstr albertynek – co dzień w porze obiadu podziwiać można istną galerię praskich postaci. – Brody ich długie, kręcone wąsiska, wzrok dziki, suknia plugawa – do słów wieszcza dodać tylko można braki w uzębieniu i niewybredną frazeologię. Jednak duch w narodzie nie ginie. Do stojącej w kolejce kobiety podchodzi koleżanka i przedstawia jej przyjaciela ze szkolnej ławy. Ten z galanterią całuje dłoń nieznajomej...

– Ja cię, k..., zamorduję! – krzyczy trzy ulice dalej mężczyzna, popychając brutalnie żonę? siostrę? kochankę? Z kobietami trzeba twardo.

Z dziećmi też. Od małego uczą się praktycznie praskiej walki o byt. Nie ukradnie, to nie zje. Kiedyś mieszkańcy złapali 9-latka okradającego samochody. Przewieziony na komisariat zademonstrował zdumionym policjantom, że potrafi otworzyć i zamknąć dokładnie każdy samochód z ich parkingu.

Brzeska niegdyś – podobno – słynna była z prostytutek. Dziś trudno powiedzieć, jakimi zawodami trudnią się mało dekoracyjne panie z tych okolic. Z Mańką, co to za flaszkę, pójdą już tylko jej znajomi. Kto by się zresztą inny skusił...

Serce Szmulek

Bazar Różyckiego. Nikt nie pamięta, że po II wojnie usiłowano przemianować go na Targowisko nr I, a władza ludowa obiecywała do 1980 roku wystawić na jego miejscu nowoczesny kombinat handlowo-usługowy składający się z domów towarowych, supermarketów spożywczych i hali

eprasa.pl 2b3a1a02cd

targowej. Może i dobrze, że tak się nie stało – byłaby to swoista zbrodnia. Jest to bowiem miejsce osobliwe i wiekowym folklorem trąci.

„PYZY GORĄCE, PYZY!” – TO WOŁANIE NIE UMILKŁO PRZEZ LATA. ZAWSZE TAK SAMO WYGLĄDAŁ ZAKĄTEK WIEJSKICH BABIN SPRZEDAJĄCYCH NIE DO KOŃCA OBDARTE Z PIERZA, SINO-ZIELONE INDYKI.

„Pyzy gorące, pyzy!” – to wołanie nie umilkło przez lata. Zawsze tak samo wyglądał zakątek wiejskich babin sprzedających nie do końca obdarte z pierza, sino-zielone indyki. Zawsze grywano tu w lusterka; frajer wygrywa do momentu, gdy – rozochocony – postawi wszystko, co ma. I biada mu, gdy zechce dochodzić swych praw lub odejść zbyt wcześnie – okazuje się nagle, że kibicujący tłum to w przeważającej części świetni kumple właściciela interesu.

Po wojnie było tu królestwo „spekulantów” i sprzedawców „ciuchów” z Zachodu. Za kryzysu na bazarze można było kupić cukier i mięso bez kartek, lub – jeśli kto wolał – same kartki. Przyciągały oczy piramidy niedostępnych gdzie indziej pomarańczy i bananów.
– Podjeżdżałem samochodem pod tyły Pewexu – opowiada handlarz. – A zawsze wiedzieliśmy, kiedy jest dostawa. Przed wejściem stała kolejka, a myśmy skrzynki towaru wynosili.

Główną aleję bazaru, zwaną Aleją Złodziei, zajmowały niegdyś komisy i kramy z odpustowymi zabawkami.

Dziś bazar zmienił się nieco. Aleję Złodziei, jak i większość targowiska, opanowali handlarze tandetnych, zagranicznych ciuchów. Kupisz tu jeszcze dżinsy-marmurki i turecki sweter. W czasie handlowej inwazji Rosjan główny plac bazaru tubylcy nazwali Placem Czerwonym...

Jednak ciągle jeszcze bazar jest miejscem jedynym w swoim rodzaju. Są uliczki, w które przypadkowy przechodzień nie zapuści się bez dreszczu. Kupisz w nich wszystko – kobietę, tanią wódkę podejrzanego pochodzenia, aż po każdy występujący w Polsce dokument. Bazar to swoiste miasteczko, z rynkiem na Placu Czerwonym, gdzie pod napisami „handel naręczny wzbroniony” stoi policyjna buda otoczona sprzedawcami. Jak w miasteczku uliczki bliżej rynku są bardziej „światowe”, reprezentacyjne – zajmują je budy z najbardziej błyszczącymi strojami, futra, suknie ślubne. Im bardziej na obrzeżach stoją stragany, tym więcej na nich rękawic roboczych, starych kranów, uszczelek, półżywych kur. Kicz króluje wciąż. Nie ma już wprawdzie dzielnicy sztucznych kwiatów, są za to stragany pełne jaskrawej, plastikowej biżuterii, brokatowych lakierów do paznokci, tanich a ohydnych szminek.

Społeczność bazaru to zamknięte środowisko, dokładnie wpisane w szmulkowski świat. To państwo w państwie. Ci, co handlują od lat, znają się jak łyse konie. Tworzą się elity i prawo lokalne. Złodziej nie kradnie we własnym domu. Swoich się nie oszukuje. Frajerzy to przejezdni. Dzieci bazaru – Cyganiątka i nie tylko – torebki mają na wysokości oczu. Nie zauważysz, kiedy w ręku zostanie ci pasek albo przecięta, wypatroszona skorupa.

Bazar jest taki, jak jego ludzie. Taki, jak całe Szmulki. Brudne mury, spod napisu „droga pożarowa” odpada płatami farba, stosy śmieci, błoto pod nogami. Praga się nie wstydzi. Nie wstydzi się trzy dni niegolonego zarostu i trzy tygodnie niezmienianego ubrania żul, który zionąc alkoholem, pyta:

ZŁODZIEJ NIE KRADNIE WE WŁASNYM DOMU. SWOICH SIĘ NIE OSZUKUJE. FRAJERZY TO PRZEJEZDNI. DZIECI BAZARU – CYGANIĄTKA I NIE TYLKO – TOREBKI MAJĄ NA WYSOKOŚCI OCZU.

– Co dla pani? – a ręce ma puste, ale jest w stanie zaoferować wszystko:
– Zegareczek? Nie ma sprawy, właśnie tu kolega, bardzo tanio, okazja. Marian, pani życzy zegareczek.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

Zegareczek? Flaszeczkę? Sprawę delikatną załatwić? Nie ma problemu.

Hłasko już by jej nie poznał

Tureckie ciuchy nie wyprą folkloru. Wystarczy zresztą popatrzeć, jak usiłują cywilizować się Szmulki. Odmalowany na biało fragment walącej się kamienicy podeprze pijanego żula równie opiekuńczo i cierpliwie, co wyszczerbiona, kamienna brama obok, „Shop spożywczy" wygląda komicznie. Na jego drzwiach kartka z odręcznie wypisaną reklamą: „Gdzie są niegdysiejsze śniegi?".

Prawie nigdzie nie ma już małych sklepików, w których można było kupić kiszoną kapustę i ciepłe lody. Nie istnieje większość starych, szmulkowskich knajp. Do legendy należy już „Bar Rybacki" na Brzeskiej, którym zarządzał – również legendarny – Wicuś Marynarz. Był to żul dobrotliwy; i na kredyt dał, i z klientem pogadał, a w wolnych chwilach wymierzał sprawiedliwość. Nie istnieje „U Czuba" – piwiarnia, gdzie, zwabieni folklorem, zaglądali czasem uczniowie pobliskiego liceum, i „dla panów studentów" zawsze szklanka i krzesło musiały się znaleźć.

Na sklep z odzieżą dziecięcą przerobiono „Dunajcową". O, Dunajcawa! To w świadomości mieszkańców Pragi symbol najbardziej mroczny dzielnicy. Tu królowały piwo i wódka w otoczeniu nieświeżych zakąsek. Tu wianuszek żuli wokół załatwiał brudne interesy.

Nie żyje pan Stasio, który odręcznie malował taksówkarzom numery na drzwiczkach, a robił to tylko po bardzo dużej wódce, bo inaczej trzęsły mu się ręce.

Ludzie też się zmieniają. Nie istnieje już złodziejski kodeks honorowy. Coraz więcej cwaniaków i zwykłych bandytów. Nie ma już klasy złodzieja, który zabierze zegarek i pieniądze, ale dokumenty zostawi, a jak bardzo zimno, to i palto. A podobno tacy bywali.

Nie poznałby dziś Marek Hłasko opisywanej przez siebie Pragi. Ciekawe, czy łza zakręciłaby mu się w oku?

NIE POZNAŁBY DZIŚ MAREK HŁASKO OPISYWANEJ PRZEZ SIEBIE PRAGI. CIEKAWE, CZY ŁZA ZAKRĘCIŁABY MU SIĘ W OKU?

NIE ISTNIEJE JUŻ ZŁODZIEJSKI KODEKS HONOROWY. CORAZ WIĘCEJ CWANIAKÓW I ZWYKŁYCH BANDYTÓW. NIE MA JUŻ KLASY ZŁODZIEJA, KTÓRY ZABIERZE ZEGAREK I PIENIĄDZE, ALE DOKUMENTY ZOSTAWI, A JAK BARDZO ZIMNO, TO I PALTO.

Żule i poeci

Domy nie zmieniają się wiele. Jaskrawe plamy tynku na niektórych kamienicach nie ukryją prawdy o nich. Wystarczy wejść po trzeszczących, wypaczonych schodach i otworzyć stare, drewniane drzwi. Oto pokój z pięcioma ścianami, za to jednym, maleńkim oknem – jeden kąt musi pozostać ciemny. Oto widok na podwórko-studnię, na którym straszy wybebeszony śmietnik, bo drzewo żadne się nie uchowa. Oto wali się sufit w kuchni – dlaczego? – ano, stary. Po węgiel schodzi się do piwnicy. Sedes, owszem, jest, ale już wanna – to marzenie. – Jak pan tu ustawisz wannę, napełnisz wodą i wejdziesz do niej, to znajdziesz się w piwnicy – ostrzega architekt spragnionego kąpieli mieszkańca. Meble często dorównują wiekiem mieszkaniom. I tu znów praskie dysonanse – telewizor SONY obok kaflowego pieca...

– Gdy się zasypia – mówi mieszkaniec – zacieki na ścianach zaczynają wirować, aż spłynie z pęknięcia na suficie sen albo koszmarna bezsenność. Gdy wchodzi się w tę odwieczną, cuchnącą uryną bramę, człowiek czuje, że staje się podobny do swego domu. Gdy się przechodzi przez podwórze, uczucie obojętnego czekania na dzień jutrzejszy potęguje się. Gdy wypadło tu przeżywać swe życie, człowiek musi stać się albo żulem, albo marzycielem, poetą.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

Prawica czeka NA PORAŻKĘ

Zajęte walkami między sobą formacje konserwatywne właśnie marnują swoją szansę na stworzenie bloku, który odsunie od władzy Donalda Tuska. Wiele wskazuje na to, że muszą ponieść **druzgocącą porażkę**, by nieco otrzeźwieć.

Mariusz Staniszewski

Niemal wszystkie sondaże pokazują dziś, że po wyborach parlamentarnych obecna koalicja straci władzę. Niemal, bo sytuacja zmienia się, gdy po lewej stronie pojawia się wspólna lista, która skupia większość sił politycznych wspierających dziś rząd Donalda Tuska. Przy takim scenariuszu marzenia prawicy o przejęciu rządów pryskają jak



Od lewej: Grzegorz Braun, Krzysztof Bosak, Przemysław Wipler i Sławomir Mentzen

Fot. Adam Chełstowski / Forum

eprasa.pl 253a1102cda

bańka mydlana. Skonsolidowane ugrupowania lewicowo-liberalne mogą uzyskać znacznie ponad 40% poparcia, co przy obowiązującym systemie liczenia głosów da im większość w Sejmie – tak jak kiedyś PiS-owi, który w 2015 roku uzyskał 37,5%, a cztery lata później – 43,5% poparcia.

Politycy prawicy oczywiście wiedzą, że to jest możliwe, ale albo nie wierzą we wspólną listę obecnej koalicji, albo żywią się nadzieją, że z biegiem czasu poparcie dla obecnej władzy stopnieje. Mają to spowodować kolejne afery i kompromitacje, których nie sposób już zliczyć. Na razie to jednak wyłącznie myślenie życzeniowe.

Walka o przywództwo

Polska prawica ciągle ma w sobie silny gen autodestrukcji. Większość liderów tych formacji za największych przeciwników nie uznaje wcale Donalda Tuska, Włodzimierza Czarzastego czy Władysława Kosiniaka-Kamysza, którzy są odpowiedzialni za katastrofalną politykę ostatnich trzech lat: ogromne zadłużenie, wzrost bezrobocia, wstrzymane inwestycje infrastrukturalne, bezwolne poddawanie się woli Berlina czy oddawanie kolejnych kompetencji Brukseli, co wprost prowadzi do federalizacji Unii Europejskiej, a co za tym idzie – ograniczenia suwerenności Polski. Przykładów działań rządu sprzecznych z polską racją stanu można podawać więcej, ale tylko te wyżej wymienione powinny wystarczyć do tego, by liderzy prawicy usiedli do wspólnego stołu i ustalili priorytety.

Nic takiego się jednak nie dzieje i szybko nie nastąpi. Żaden z przywódców partii konserwatywnych nie jest dziś zdolny do oddania choćby guzika rywalowi z tej samej strony sceny. W istocie celem jest raczej wyeliminowanie konkurenta niż dogadanie się z nim. Jarosław Kaczyński i jego otoczenie ciągle żyją wspomnieniami o samodzielnej większości i jak mantrę powtarzają, że znów są w stanie uzyskać wynik powyżej 40%. Mateusz Morawiecki uwierzył, że może sięgnąć po osieroconych wyborców Polski 2050 i tych sfrustrowanych PiS-owską radykalizacją. Krzysztof Bosak przyjął postawę wyczekującą, stara się dystansować od PiS i kąśliwie atakować rządzących. Sławomir Mentzen nie przedstawia żadnego planu oraz nie wydaje się zdolny do jakichkolwiek negocjacji czy współpracy z kimkolwiek. Jego najważniejszym celem nie jest władza, ale pieniądze, które można zarabiać na obecności w polityce.

> CELEM SZEFÓW KONFEDERACJI JEST WBICIE KILKU GWOŹDZI W TRUMNĘ PiS, A NASTĘPNIE PRZYSYPANIE JEJ GRUBĄ WARSTWĄ ZIEMI.

Partia Grzegorza Brauna ze swoją jawną prorosyjskością pozostaje na ten moment poza możliwością współpracy z kimkolwiek. Jej celem jest zresztą kwestionowanie obecnego układu politycznego jako całości.

W rzeczywistości między partiami konserwatywnymi – choć Konfederację Korony Polskiej do tej grupy trudno zaliczyć, gdyż jest bardziej partią protestu – nie ma dziś żadnych punktów wspólnych. Wszyscy zdają się żyć przeszłością – PiS wspomnieniem o wielkości, Konfederacja krzywdami, których doświadczyła ze strony Jarosława Kaczyńskiego, oraz oskarżeniami o zdradę Mateusza Morawieckiego.

Pakt u prezydenta

Wyjściem z impasu ma być inicjatywa Karola Nawrockiego, który mógłby zostać patronem porozumienia formacji prawicowych. W rzeczywistości to jednak pewna ułuda, gdyż prezydent nie ma żadnych narzędzi, by skłonić liderów rywalizujących ugrupowań do sojuszu. Nie ułoży list, nie przeprowadzi negocjacji ani nie określi ram współpracy. Co najwyżej może ich zaprosić do Pałacu, posadzić przy jednym stole i wskazać długodystansowy cel. Oni jednak znają go i bez wskazań Karola Nawrockiego – umocnienie suwerenności Polski, zatrzymanie absurdalnej polityki klimatycznej UE, wyjście z systemu ETS, wzmocnienie obronności kraju i rozbudowa infrastruktury. To wszystko jest możliwe tylko po odsunięciu od władzy Donalda Tuska i jego sojuszników, a jednak negocjacji nie ma.

Skonstruowanie takiego minimum programowego zespołowi roboczemu – gdyby taki powstał – złożonemu z przedstawicieli wszystkich konserwatywnych formacji zajęłoby kwadrans. Później zaczęłaby się realna, przyziemna polityka. W przypadku listy do Senatu należałoby ustalić podział okręgów, a więc przypisanie wyłącznie jednego kandydata prawicowego do każdego z nich. Biorąc pod uwagę, że przy skonstruowaniu wspólnej listy do izby wyższej parlamentu blok konserwatywny mógłby liczyć na około 53 do 55 mandatów, walka byłaby zacięta.

Niemal połowa okręgów znajduje się na terenach, na których dominuje Koalicja Obywatelska, Lewica i PSL. Bój toczyłby się zatem o okręgi „biorące", w których wyborcy konserwatywni stanowią większość. Według jakiego klucza podzielić taki kąsek między trzy, cztery lub nawet pięć ugrupowań (Konfederacja składa się przecież z dwóch

eprasa.pl 2b3a1a02cd

partii, które również ze sobą konkurują) o różnej sile politycznej? Jeśli dziś liderzy wszystkich formacji prawicowych traktują się wzajemnie jak wrogów, to co ma ich nagle skłonić do ustępstw? Chęć pokonania Donalda Tuska zbiega się przecież z ambicją zdobycia przywództwa po prawej stronie.

Cała konstrukcja okaże się nieskuteczna, jeśli nawet jedna konserwatywna partia – w tej układance tak należy traktować ugrupowanie Grzegorza Brauna – wyłamie się z paktu. Rozbicie głosów na dwóch kandydatów prawicowych da zwycięstwo skonsolidowanemu blokowi lewicowo-liberalnemu.

W przypadku Sejmu, w którym znajduje się znacznie bardziej realna władza, o porozumienie byłoby jeszcze trudniej.

Niezdolni do ugody

Dynamika zmian partii prawicowych w Europie pozwala obu Konfederacjom mieć nadzieję, że przyjdzie moment, w którym przeskoczą PiS i staną się główną alternatywą dla obecnej władzy. Z tej perspektywy Krzysztof Bosak, Sławomir Mentzen i Grzegorz Braun mają więcej czasu niż Jarosław Kaczyński.

Są nie tylko młodsi, ale łudzą się, że przyszłość należy do nich, a PiS jest przeżytkiem. Dlatego strategicznie nie mogą uznać partii Kaczyńskiego za lidera polskiej prawicy i oddać jej najwięcej miejsc na listach wspólnego bloku. Celem szefów Konfederacji jest raczej wbicie kilku gwoździ w trumnę PiS, a następnie przysypanie jej grubą warstwą ziemi.

Jednocześnie zdają sobie oni sprawę, że prezes Prawa i Sprawiedliwości jest od nich nie tylko znacznie mądrzejszy, ale też sprytniejszy i bardziej doświadczony. W polityce partyjnej jest wirtuozem. Nie da się go zastraszyć, a pokonać jest bardzo trudno. Krzysztof Bosak przekonał się o tym, gdy był posłem Ligi Polskich Rodzin. Kaczyński ogrywał wówczas Romana Giertycha, wicepremiera w rządzie koalicyjnym, jak chciał i kiedy chciał. Z pewnością Bosak nosi w sobie tamte wspomnienia i wie, z jakiej wagi przeciwnikiem ma się mierzyć.

Lider Konfederacji ma zresztą na głowie jeszcze jedno zmartwienie. To studia na Collegium Humanum, które miał rozpocząć w trybie budzącym wątpliwości. Z pewnością obecna władza nie zawaha się użyć tego haka, by odwieść Bosaka od wspólnego paktu z PiS. O sile tego argumentu przekonuje się dziś Szymon Hołownia, który nie poparł pomysłu Donalda Tuska o wspólnej liście rządzącej koalicji, więc prokuratura zamierza wystąpić o uchylenie immunitetu wicemarszałka Sejmu.

Jeszcze większe wątpliwości co do gotowości tworzenia wielkiego prawicowego bloku budzi postać Sławomira Mentzena. Lider Nowej Nadziei otwarcie przyznał, że według niego mniej szkody wyrządza Donald Tusk niż Jarosław Kaczyński z Mateuszem Morawieckim. Później, co prawda, przyznawał, że jest w stanie pójść z każdym partnerem, który będzie realizował program Konfederacji, ale przecież jego partia byłaby w pakcie mniejszym graczem, a ten raczej nie jest głównym kreatorem planu rządzenia. Mentzen wydaje się więc stawiać warunki zaporowe, by nie uwikłać się w żaden alians z PiS.

No i dochodzimy do Konfederacji Korony Polskiej, a dokładniej do jej lidera, który przecież w ogóle nie jest zainteresowany traceniem politycznego dziewictwa. Nie warto nawet przytaczać obelg, które kierował pod adresem Mateusza Morawieckiego i PiS, by pokazać jego niechęć do tego rodzaju sojuszu. Grzegorz Braun jest politykiem całkowicie nieobliczalnym i nastawionym na zadymę. Wpasowanie się w ramy ugrupowania funkcjonującego w obecnym systemie byłoby dla niego niczym wbicie osinowego kołka. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można zatem uznać, że nawet jeśli przystąpi do negocjacji, to szybko wysadzi je w powietrze, ujawniając wszystkie szczegóły.

Celem Brauna nie jest dziś władza, ale ugruntowanie pozycji własnej oraz Konfederacji Korony Polskiej, a to może dziać się wyłącznie przez negację wszystkich działających ugrupowań, zwłaszcza tych, które ubrudziły się władzą.

Klęska jak katharsis

Otrzeźwieniem dla prawicy może być zatem tylko klęska w wyborach. A tym byłaby sytuacja, gdyby wspólnie przyciągnęła większą liczbę wyborców, ale z powodu rozdrobnienia uzyskała mniej mandatów niż blok Donalda Tuska.

Na dziś nic innego nie jest w stanie tych ugrupowań skonsolidować, a ich liderów otrzeźwić.

Wbrew pesymistycznym dla Tuska sondażom zdaje się on mieć dziś otwartą drogę do kolejnej kadencji.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ WASIUKIEWICZ



eprasa.pl 2b3a1a02cd

XXXV FORUM EKONOMICZNE W KARPACZU

Rekarbonizacja. Powrót do realizmu energetycznego

Jednym **z wiodących wydarzeń** tegorocznego Forum Ekonomicznego w Karpaczu będzie organizowany przez NSZZ „Solidarność" panel „Rekarbonizacja – powrót do realizmu energetycznego". Debata będzie okazją do rozmowy o przyszłości polskiej energetyki, bezpieczeństwie surowcowym oraz miejscu węgla w nowoczesnej gospodarce.

Barbara Michałowska

Europa i Polska wchodzą w okres, w którym bezpieczeństwo energetyczne ponownie staje się jednym z najważniejszych wyzwań dla państwa i gospodarki. Kryzysy geopolityczne, rosnące zapotrzebowanie na energię elektryczną, rozwój sztucznej inteligencji i centrów danych, a także konieczność odbudowy europejskiego i polskiego przemysłu obronnego stawiają pod znakiem zapytania dotychczasowe założenia polityki energetycznej. W tej sytuacji potrzebujemy nie ideologii, lecz realizmu.

Bezpieczeństwo państwa, konkurencyjność przemysłu i interes społeczny

Panel „Rekarbonizacja – powrót do realizmu energetycznego" będzie próbą odpowiedzi na pytanie, jakie miejsce w nowoczesnym miksie energetycznym Polski powinien zajmować węgiel – zarówno jako źródło energii, jak i strategiczny surowiec dla gospodarki.

Debata zgromadzi ekspertów, przedstawicieli biznesu oraz strony społecznej, którzy spojrzą na transformację energetyczną z perspektywy bezpieczeństwa państwa, konkurencyjności przemysłu i interesu społecznego. Uczestnicy panelu przeanalizują rzeczywiste koszty unijnej polityki klimatycznej: jej wpływ na ceny energii, kondycję polskiego przemysłu, inwestycje i miejsca pracy oraz rosnące ryzyko uzależnienia od importowanych technologii i surowców.

Czy gospodarka może być konkurencyjna bez dostępu do stabilnej i relatywnie taniej energii? Czy system oparty w coraz większym stopniu na źródłach zależnych od warunków pogodowych jest przygotowany na gwałtowny wzrost zapotrzebowania na prąd? Czy da się pogodzić rozwój OZE z koniecznością zapewnienia mocy dyspozycyjnych? I wreszcie – czy Polska może sobie pozwolić na rezygnację z własnych zasobów węgla w sytuacji, gdy bezpieczeństwo energetyczne coraz wyraźniej staje się elementem bezpieczeństwa narodowego?

Czy węgiel jest rentowny?

Panel będzie także okazją do zmierzenia się z utrwalonymi przekonaniami dotyczącymi „nierentownego węgla". Mówcy przyjrzą się temu pojęciu z perspektywy całego łańcucha wartości oraz kosztów alternatywnych. Węgiel nie musi bowiem oznaczać wyłącznie tradycyjnego spalania. Rozwój nowoczesnych technologii – między innymi CCUS, zgazowania węgla oraz czystej chemii węglowej – otwiera nowe możliwości wykorzystania rodzimego surowca i budowania wokół niego innowacyjnych gałęzi przemysłu.

Uczestnicy panelu porozmawiają również o tym, jak można by wykorzystać istniejące zasoby węgla, infrastrukturę, kompetencje i potencjał przemysłowy w sposób odpowiadający wyzwaniom XXI wieku.

Czy istnieje alternatywa?

Szczególne miejsce w dyskusji zajmie społeczny wymiar przeobrażeń na rynku energetycznym. Likwidacja kopalń i wygaszanie całych sektorów gospodarki oznaczają nie tylko zmianę struktury produkcji energii, ale również konsekwencje dla tysięcy pracowników, ich rodzin oraz całych regionów. Czy istnieje alternatywa dla polityki, która traktuje zamykanie kopalń jako cel sam w sobie? Czy można połączyć ochronę miejsc pracy z modernizacją sektora wydobywczego i energetycznego?

Panel poprowadzi Michał Ossowski, prezes Fundacji Promocji Solidarności, który zaprosi uczestników do rozmowy o tym, jak powinien wyglądać polski model bezpieczeństwa energetycznego w obliczu nowych wyzwań.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

W pułapce krótkowzroczności

Podczas poprzednich rządów Platformy Obywatelskiej silna jeszcze wówczas blogosfera polityczna tworzyła rozmaite listy afer, w czym przodowało zasłużone dla ówczesnej internetowej opozycji Niepoprawne Radio. Po zmianie władzy historia zaczęła powtarzać się jako farsa – portal Wieści24.pl zaczął w nieskończoność rozwijać analogiczny spis skandali związanych z rządami PiS, przy czym większość z nich **wydawała się dęta,** niejasna lub naciągana. Dziś afer nikt już chyba nie liczy, bo i policzyć je trudno. Odpowiedzieć na pytanie o przyczyny tego stanu rzeczy jest na pozór łatwo, niemniej spróbujmy zrobić to bez chodzenia na skróty.

Krzysztof Karnkowski



Proj. K. Karnkowski

eprasa.pl 2b3a1a02cd

Na początek uporządkujmy dane. Tym razem interesują nas głównie wątki finansowe, poszczególne elementy układające się w obraz bezprecedensowego skoku na kasę – dokonywanego nieraz w biały dzień i w świetle kamer, niekiedy wręcz ogłaszanego oficjalnie jako wielki sukces. Dlatego na bok odkładamy na razie choćby aferę w Kłodzku, choć oczywiście o niej nie zapominamy. Jednak już rozgrywająca się w tym samym regionie sprawa pieniędzy dla ofiar powodzi, które trafiły do osób przez powódź niedoświadczonych, za to związanych bezpośrednio lub pośrednio z rządzącymi, leży w samym centrum naszego zainteresowania.

Polska aferalna

W 2026 roku kilka spraw szczególnie mocno zaznaczyło swą obecność w świadomości społecznej i uderzyło w wizerunek obozu rządzącego jako formacji deklarującej przejrzystość i racjonalne gospodarowanie publicznymi pieniędzmi. Oczywiście to ostatnie było opowieścią dla naiwnych i mających problemy z pamięcią, jak jednak pokazały wybory – takich osób nie brakuje. W tle jednak jest też druga grupa wyborców, dość liczna społeczność beneficjentów lub osób, które liczą na to, że beneficjentami staną się w odpowiednich okolicznościach. Słuszność takich rachub pokazały już rok 2025 i sytuacja związana z podziałem środków z KPO dla branży HoReCa i – trochę później – dla kultury. W przypadku HoReCa podpisano ponad 1600 umów, a pieniądze przeznaczane na „dywersyfikację" działalności trafiały m.in. na jachty, domy na wodzie, solaria, sauny, mobilne ekspresy do kawy, maszyny do lodów czy platformę e-learningową do nauki brydża wartą ponad 300 tys. zł. Dodatkowe wątpliwości wzbudziło ujawnienie, że po zmianie zasad naboru o środki mogły ubiegać się także firmy, dla których hotelarstwo czy gastronomia nie były podstawową działalnością. Duży strumień pieniędzy trafił do osób rodzinnie związanych z ważnymi politykami koalicji rządzącej. Najgłośniejszy był przypadek Artura Łąckiego, posła KO i jednego z najzamożniejszych parlamentarzystów. Firma jego żony Wioletty, prowadzącej ośrodek wypoczynkowy w Pobierowie, otrzymała – według samego Łąckiego – 474 tys. zł. Niezależna.pl wskazywała, że w dokumentacji dotyczącej kilku projektów pojawiały się łącznie kwoty przekraczające milion złotych, a sam poseł figurował w dokumentacji jako osoba do kontaktu. Łącki podkreślał, że firma żony od lat działa w branży turystycznej, spełniła kryteria konkursu i wszystko odbyło się zgodnie z prawem. Symboliczna była wypowiedź posłanki KO Katarzyny Królak, która broniąc programu w Polsat News, powiedziała, że „połowa albo większość" jej znajomych i bliższej lub dalszej rodziny dostała dofinansowanie z HoReCa.

Podobna fala krytyki objęła KPO dla kultury. Zostawiając na boku dotacje kontrowersyjne z przyczyn merytorycznych, odnotujmy tylko, że na opublikowanej liście znalazło się m.in. 200 tys. zł dla fundacji Krystyny Jandy, 150 tys. zł dla zespołu Poparzeni Kawą Trzy (radiowi, zaprzyjaźnieni z PO dziennikarze, w swoim czasie wykonujący mocno obraźliwy kawałek „Kartofle dwa" o braciach Kaczyńskich, po katastrofie smoleńskiej zmieniając jego tekst na obraźliwy wobec Solidarności i sugerujący homoseksualizm i chorobę psychiczną prezesa PiS), a około 298 tys. zł otrzymała Fundacja Liberté! – organizująca Igrzyska Wolności, wydarzenie chętnie odwiedzane przez polityków obecnej koalicji. Kontrowersje nie ograniczyły się przy tym do doboru projektów: w 2026 r. sądy administracyjne potwierdzały nieprawidłowości proceduralne przy ocenie części wniosków, a krytycy wskazywali, że system odrzucał bardzo dużą część aplikacji z powodów formalnych, jednocześnie finansując projekty budzące pytania o ich rzeczywisty związek z odbudową i odpornością sektora kultury.

> POSZCZEGÓLNE ELEMENTY UKŁADAJĄ SIĘ W OBRAZ BEZPRECEDENSOWEGO SKOKU NA KASĘ.

Lato chciwych ludzi

Przejdźmy do afer z ostatnich tygodni i miesięcy. W Warszawskim Szpitalu Południowym symbolem patologii stał się radny KO i lekarz Dawid Kacprzyk, którego roczne zarobki miały sięgać ok. 1,6 mln zł. Wokół placówki pojawiły się też zarzuty dotyczące specjalnej ścieżki obsługi polityków KO i ich

eprasa.pl 2b3a1a02cd

rodzin oraz późniejszy wątek prosektorium i powiązań z biznesem pogrzebowym. Prokuratura wszczęła postępowania, lecz Kacprzyka nie przesłuchała do dziś. Na Śląsku wybuchła z kolei afera wokół Tramwajów Śląskich i inwestycji infrastrukturalnych o wartości ok. 1,3 mld zł. Śledztwo Prokuratury Europejskiej i CBA objęło podejrzenia korupcji i ustawiania zamówień, a w jednym z wątków pojawiła się dotacja unijna w wysokości 27 mln zł oraz propozycja prowizji sięgającej 5 proc. wartości projektu. W sprawę zamieszany jest poseł KO i szef Rady Mediów Narodowych Wojciech Król, który dopiero po interwencji Prokuratury Europejskiej został pozbawiony immunitetu, lecz Sejm nie zgodził się na jego aresztowanie. Kolejna sprawa dotyczyła Karkonoskiej Agencji Rozwoju Regionalnego, która rozdzielała pomoc po powodzi: ok. 4,5 mln zł trafiło do trzech podmiotów związanych z najbliższym otoczeniem wiceprezes agencji i działaczki KO Anny Konieczyńskiej. Firma jej męża dostała 200 tys. zł, przedsiębiorstwo sąsiada – ponad 3,2 mln zł, a kolejny lokalny podmiot – ponad 1,1 mln zł, mimo poważnych wątpliwości, czy wskazane nieruchomości rzeczywiście ucierpiały wskutek powodzi. Najświeższą aferą stała się natomiast sprawa Barbary Mróz-Gorgoń i projektu „Marka Polska". Wokół przygotowanego materiału pojawiły się zarzuty błędów, niskiej jakości i wykorzystania AI, a spór dotyczył także publicznej umowy wartej ok. 170–200 tys. zł. Dodatkowo medialnie wrócił znacznie większy kontekst przyszłych wydatków na promocję marki Polski, liczonych już nie w setkach tysięcy, lecz w setkach milionów złotych.

FIRMA MĘŻA DZIAŁACZKI KO DOSTAŁA 200 TYS. ZŁ, A PRZEDSIĘBIORSTWO SĄSIADA – PONAD 3,2 MLN ZŁ.

Wymiana i kontynuacja

Oczywiście przyczyn tego stanu rzeczy można szukać w starych kalkach pojęciowych i ludowej mądrości mówiącej, że politycy kradną, a niektóre ugrupowania są do tego dużo bardziej predysponowane niż inne. Wiele w tym zresztą prawdy, co politykom – paradoksalnie – czasem pomaga – zmęczone społeczeństwo gotowe jest przymykać na pewne sprawy oko, nie widząc szans na zmianę i kandydatów do prowadzenia lepszej polityki. Dzieje się tak na ogół tylko do czasu. W 2015 roku Polacy zmienili władzę, w dużym stopniu odrzucając skorumpowany i wykluczający szerokie grupy społeczne model rządów PO. Spora ich część, odsuwając PiS, wierzyła, że kieruje się podobnymi motywami, choć w dużym stopniu dała się przy tym zmanipulować ludziom, którzy natychmiast po powrocie na stanowiska zajęli się tym, o co oskarżali konkurentów, tylko że ze zdwojoną siłą i mniejszą społeczną kontrolą. A przy tym tak, jakby nie tylko chcieli nadgonić osiem lat odstawienia od państwowego paśnika, lecz także jakby mieli świadomość, że tym razem czas może być ograniczony. I tak przechodzimy do bardziej teoretycznej części naszych rozważań.

Czy kadencyjność służy, czy nie służy dobru obywateli i polityce państwa? Alexis de Tocqueville zwracał uwagę, że okresowy wybór rządzących chroni społeczeństwo przed trwałym zawłaszczeniem państwa przez jedną grupę, ale zarazem możliwość reelekcji skłania polityków do podporządkowywania decyzji interesowi najbliższych wyborów: wraz z ich zbliżaniem się interes państwa może ustępować potrzebie utrzymania stanowiska. Max Weber ujmował ten problem przez przeciwstawienie wybieralnego polityka i zawodowego urzędnika – pierwszy posiada demokratyczną legitymację i może kontrolować aparat

RZĄDZĄCY, JEŚLI DYSPONUJĄ MEDIAMI, MOGĄ WPŁYWAĆ NA ŚWIADOMOŚĆ OBYWATELI I SPRAWIAĆ, ŻE FAŁSZYWIE INTERPRETUJĄ ONI WŁASNY INTERES.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

państwa, lecz pozostaje zależny od wyborców, partii i bieżących nastrojów, drugi zaś zapewnia kompetencję, pamięć instytucjonalną i ciągłość działania, ale może uniezależniać się od demokratycznej kontroli. Robert Michels dodatkowo ostrzegał, że sama kadencyjność i regularne wybory nie zapobiegają oligarchizacji: przywódcy z czasem zdobywają przewagę organizacyjną, informacyjną i personalną, która utrudnia realną wymianę elit. My widzimy to głównie w samorządach. Zauważmy jednak, że rządzący, jeśli dysponują mediami, mogą wpływać na świadomość obywateli i sprawiać, że fałszywie interpretują oni własny interes. W efekcie tego w procesie wyborczym mogą premiować zapowiedzi i działania wygodne dla sprawujących władzę. Tym samym pozorna demokracja sprzyja dalszej oligarchizacji i zmienia się w fasadę. Do tego teoretycy nie biorą pod uwagę sytuacji, w której elita programowo nie kieruje się ani interesem państwa, ani wyborców, skupiając się na zabezpieczeniu stanu posiadania wąskiej grupy społecznej, i która odpowiedzialna czuje się jedynie przed zewnętrznymi organami kontroli, w naszym przypadku – Unii. A i to, jak pokazuje przypadek posła Króla, nie zawsze.

Zabójczy model menedżerski

Kadencyjność w nowym modelu zdaje się opierać na dwóch równocześnie sprzecznych i wynikających z siebie założeniach. Pierwsze, które ładniej określić możemy jako „gospodarka rabunkowa", sprowadza się do prostego nachapania się, ile się tylko da. Czas jest ograniczony tym bardziej, że chciwość, kładąca się cieniem na jakości polityki, uniemożliwić może reelekcję. W normalnych warunkach taki mechanizm byłby samoograniczony przez lęk przed późniejszymi rozliczeniami (argument za kadencyjnością), a także utratą zaufania nawet własnego, żelaznego elektoratu. Ten konieczny jest do zachowania choćby samorządowych przyczółków w momencie utraty kluczowych ośrodków władzy. Jednak patologie wymiaru sprawiedliwości, a także emocjonalne związki wyborców, mediów i polityków osłabiają te mechanizmy, ponieważ pozwalają nawet słuszne zarzuty przedstawić jako element gry, polityczną nagonkę. Dla części elity pozostają jeszcze rozmaite immunitety i praca dla dużych instytucji zagranicznych. Jeśli jednak mechanizm ten zaczyna się wyczerpywać, pojawia się koncepcja druga – utrzymania władzy za wszelką cenę. Nie brak sygnałów, że i taka myśl nie jest rządzącym dziś Polską obca.

> RZĄD MYŚLI O SOBIE W KATEGORII CHWILOWEGO ZARZĄDU NAD PRZEDSIĘBIORSTWEM, Z KTÓRYM NIE MA SIĘ ŻADNYCH EMOCJONALNYCH ZWIĄZKÓW.

Dobrym punktem odniesienia dla takiego kadencyjno-rabunkowego sposobu myślenia jest pojęcie „opcji menedżerskiej", którym Rafał Ziemkiewicz często posługuje się w swoich rozważaniach o współczesnych korporacjach. W jego ujęciu rozdzielenie własności od zarządzania powoduje, że wielką firmą coraz częściej nie kieruje właściciel, zainteresowany jej przetrwaniem i rozwojem w perspektywie pokoleń, lecz wynajęty menedżer, którego pozycja, wynagrodzenie i premia zależą od bieżących wyników, kursu akcji i realizacji krótkookresowych wskaźników. Ziemkiewicz pisał wręcz o „imperatywie maksymalizowania krótkoterminowego zysku", wiążąc go z mechanizmami kapitału akcyjnego i „opcji menedżerskiej". Menedżer może więc poprawiać wynik firmy przez redukcję inwestycji, sprzedaż aktywów czy ograniczanie kosztów, których negatywne skutki ujawnią się dopiero wtedy, gdy jego samego nie będzie już na stanowisku. To podejście bardzo podobne do obecnej, turboliberalnej polityki polskiego rządu. Jeśli właścicielem pozostaje suweren, a rząd myśli o sobie w kategorii chwilowego zarządu nad przedsiębiorstwem, z którym nie ma się żadnych emocjonalnych związków („Polskość to nienormalność"), wszelkie patologie w działaniu stają się uzasadnione. Nie dziwi też, że przenoszą się w dół, na zachowania samorządów, ale też poszczególnych branż, najczęściej uważanych za elitarne, za depozytariuszy zaufania publicznego. Lekiem na to może być jedynie powrót do myślenia wspólnotowego, zakorzenionego w społecznej nauce Kościoła i naszej polskiej tradycji solidarności – pisanej małą i wielką literą. To ogromne wyzwanie, a po latach pustoszenia państwa wręcz warunek jego – i naszego jako obywateli – przetrwania.

eprasa.pl 2b3a1a02cd



Brand Polska

„Marka Polska”: słabo zaprojektowany projekt marketingowy czy mechanizm transferowania publicznych pieniędzy na **budowę partyjnego zaplecza**?

Ferdynand Fodder

Most ma z punktu widzenia wykonawcy zamówienia publicznego jedną zasadniczą wadę: po wydaniu na niego pieniędzy musi gdzieś stać. Można go więc znaleźć, przejść po nim na drugi brzeg, a może nawet przejechać. Jeśli pęknie pod kołami naszego pojazdu i runie do rzeki, nawet najbardziej życzliwy urzędnik

eprasa.pl 2b3a1a02cd



Proj. K. Karnkowski

będzie miał problem z uznaniem realizacji zamówienia za sukces. Choć zwykły Polak nie zna się raczej na konstrukcji mostów, zauważy, jeśli ten zbudowany będzie z patyków i kolorowego sznurka. Strategia wizerunkowa jest pod tym względem produktem wdzięczniejszym. Można zaplanować na jej realizację nawet pół miliarda złotych, a o tym, że zbudowana jest na patykowych przęsłach, dowiemy się co najwyżej przypadkiem.

Polaków portret własny

W listopadzie 2025 roku na terenie Akademii Leona Koźmińskiego zaprezentowano raport o wdzięcznym tytule „Polaków portret własny" nawiązującym do sławnej wystawy Muzeum Narodowego w Krakowie z 1979 roku. Publikacja ta – identyfikująca się jako twór Fundacji Marka Polska Think Tank i dr hab. Barbary Mróz-Gorgoń – była owocem badań realizowanych w ramach projektu „Marka Polska – podstrategia turystyczna" dofinansowanego przez Ministerstwo Sportu i Turystyki kwotą niemal 200 tys. złotych. Na 26 stronach dokumentu czekała na czytelników „analiza ekspercka DNA marki polskiej, psychologicznych wymiarów tożsamości, globalnych trendów nation brandingu oraz konkretnych rekomendacji dla budowy spójnej, długoterminowej strategii brandingowej na arenie międzynarodowej". Obecny na premierze analizy Piotr Borys, wiceminister sportu i turystyki, zachwalał ją jako „pierwsze tak kompleksowe badanie, które pokazuje, kim jesteśmy jako społeczeństwo, jakie wartości nas kształtują oraz jak widzimy potencjał współczesnej Polski", dziękując „wszystkim badaczom i uczestnikom, którzy przyczynili się do powstania tak cennego materiału".

Jak cenny był to materiał, przekonaliśmy się nieco później, w sierpniu 2026 roku. Sebastian Meitz, ekspert Instytutu Sobieskiego, pobrał go, przeczytał (legenda głosi, że jako pierwszy w Polsce) i skomentował, wywołując swoim wpisem poruszenie w mediach społecznościowych. Wychwalany pod niebiosa raport okazał się zlepkiem koślawych zdań, pourywanych fragmentów, pustych przypisów i dziwacznych neologizmów. Rozważania na temat tego, czy publikacja jest dziełem sztucznej inteligencji, prędko ustąpiły spekulacjom, jak w ogóle udało się zmusić algorytm do wyprodukowania czegoś tak niskiej jakości.

WYCHWALANY POD NIEBIOSA RAPORT OKAZAŁ SIĘ ZLEPKIEM KOŚLAWYCH ZDAŃ, POURYWANYCH FRAGMENTÓW, PUSTYCH PRZYPISÓW I DZIWACZNYCH NEOLOGIZMÓW.

„Polska ma GŁĘBOKIE ZAKORZENIENIE w historii sufferingu" – przeczytać możemy w wypełnionym kapitalikami dokumencie. Polacy – których młodsze pokolenie zaskakuje znajomością języka mandaryńskiego – „zatrzasnęli się" w tożsamości ofiary i „syndromie impostora", niwelując zyski z polskiej „reziliencji". W kontraście zaprezentowani są Niemcy, którzy sprytnie „nie budują marki na temat Holocaustu", i inni Europejczycy, którym najnormalniej w świecie zazdrościmy, tak jak Włochom z ich „Dolce Vita + Modą" i „Ferrari". Internautom w sposób szczególny przypadł do gustu opis polskiej kuchni, w której dostrzeżono „tradycyjną chlebowość", choć

eprasa.pl 2b3a1a02cd

należy docenić także wizjonerskie umieszczenie Katowic w „północnym centrum" kraju, a Wrocławia na „północnym zachodzie".

Niektóre z tych błędów przypominają artefakty typowe dla tekstów generowanych przez modele językowe trafione zjawiskiem interferencji językowej. Dochodzi do niego, gdy wektory pojęciowe z języka angielskiego, dominującego w zbiorze treningowym, zaczynają nakładać się na treść tworzoną po polsku (lub w innym języku, który jest danemu modelowi mniej znany) – co zdarza się szczególnie często, gdy dodamy do zapytania liczne obcojęzyczne źródła. Jeśli model został zasypany anglojęzycznymi materiałami z poleceniem wygenerowania podobnego opracowania, algorytm mógł mechanicznie nałożyć angielskie struktury na polską gramatykę, tworząc tego typu językowe potworki. Ewidentnie nikt z autorów i decydentów nie zadał sobie nawet trudu, by przeczytać gotowy plik przed jego publikacją.

Ładunek memiczny dokumentu okazał się ostatecznie zbyt potężny, by aferę dało się przeczekać. Barbara Mróz-Gorgoń złożyła dymisję z funkcji pełnomocnika rządu do spraw promocji „marki Polski", 23 dni po objęciu tej funkcji. Jako powód rezygnacji podała „niewyobrażalną skalę hejtu". Piotr Borys odciął się od raportu, twierdząc, że – wbrew zapisom zawartym w samym dokumencie – nie był on częścią zamówienia ani umowy z Ministerstwem Sportu i Turystyki (choć ministerstwo do dziś nie zareagowało w żaden sposób na rzekomo bezpodstawne wykorzystanie jego logotypu i podanie informacji o finansowaniu). Stroną umowy nie poczuwa się także Fundacja Marka Polska Think Tank, która w opublikowanym oświadczeniu odrzuciła współautorstwo i zapowiedziała zakończenie działalności – tylko po to, by zapowiedź tę następnie ze swojej strony internetowej usunąć. Sprawie ostatecznie przyjrzeć mają się i CBA, i prokuratura, którym pozostaje kibicować w rozwikłaniu tej dziwnej plątaniny.

Myśleć globalnie

„Polaków portret własny" nie był jedynym dokumentem wyprodukowanym pod szyldem Fundacji Marka Polska Think Tank. Współfinansowany przez Polską Fundację Narodową anglojęzyczny „Poland: A Global Impact" badać miał globalny odbiór Polski w zagranicznej sieci. Niestety, gdy dziennikarze Wirtualnej Polski zaczęli przyglądać się dokumentowi, na jaw wyszły błędy metodologiczne i sprzeczności w danych liczbowych, które prowadziły do całkowicie nieuzasadnionych wniosków analitycznych. W zestawie danych, na których oparto raport, nie oddzielono w pełni treści publikowanych przez polskich internautów od opinii faktycznych obcokrajowców – co bezpośrednio zniekształciło pozyskane dane. Główny wniosek raportu, jakoby 62% świata oceniało Polskę pozytywnie, opierał się na wycięciu z kalkulacji wpisów neutralnych. Po uwzględnieniu pełnej puli danych okazało się, że 80% internetowych wzmianek nie niosło żadnego ładunku emocjonalnego, a pozytywne opinie stanowiły zaledwie 13%. Choć dla przeciętnego internauty nijak miało się to do „chlebowości", wpadka metodologiczna u naukowca uderza w kompetencje znacznie mocniej. „Poland: A Global Impact" – podobnie jak „Polaków portret własny" – zniknął prędko ze strony Fundacji Marka Polska Think Tank.

Studnia bez dna

Najciekawszym dokumentem z serii przygotowanej pod redakcją Barbary Mróz-Gorgoń pozostaje jednak „Strategia Marka Polska". Błędów czy językowych kompromitacji jest tam wprawdzie mniej, ale dopiero w tym tekście natrafimy na kwoty i pomysły, które każą zastanowić się nad celem całego tego projektu.

„Strategia Marka Polska" jest, jak nazwa wskazuje, dokumentem strategicznym opracowanym na potrzeby wdrażania i wzmacniania „polskiej marki", tak jak rozumieją ją autorzy dokumentu. Zaproponowali oni na potrzeby projektu olbrzymi budżet: od 520 do 670 milionów złotych ze środków publicznych rozłożonych na lata 2026–2028. Środki te wydane miały być m.in. na wyjątkowo kosztowny panel monitorowania KPI (kluczowych wskaźników efektywności) czy organizację wydarzeń w przestrzeniach wirtualnych Metaverse, opustoszałych i na dobrą sprawę zapomnianych. Narzędzia powszechnie dostępne na rynku komercyjnym zdecydowano się budować zupełnie od podstaw – za miliony złotych. Wysokość wyceny samej warstwy IT i analityki zdumiewa, tym bardziej że rozłożona jest na kilka pozycji o podobnie brzmiących nazwach: łącznie na samo oprogramowanie do mierzenia efektów, raporty i panele analityczne zaplanowano ponad 100 milionów złotych. Blisko 40%

> ŁADUNEK MEMICZNY DOKUMENTU OKAZAŁ SIĘ OSTATECZNIE ZBYT POTĘŻNY, BY AFERĘ DAŁO SIĘ PRZECZEKAĆ.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

całego budżetu programu pochłonąć mają tzw. koszty przekrojowe – czyli m.in. administracja, biurokracja nowo powołanego Biura Marki Polska, obsługa prawna czy „rezerwy strategiczne".

Dokument czyta się jak dziwaczną listę zakupową pełną zawyżonych wycen poprzetykanych litanią ogólników i nieaktualnych trendów, które rozpalały marketingowe wyobraźnie lata temu: pojawiają się tu chociażby Web3 – aplikacja mobilna; „blockchain" – potraktowany powierzchownie jako system certyfikowania produktów premium; zapomniane przez świat NFT – nazwane dla niepoznaki „Digital Poland Collectibles". Cała chmara chaotycznie rozrzuconych inicjatyw przeplata się tu z postulatami swobodnego przepalania milionów na programy i partnerstwa, których uzasadnienia próżno szukać w tekście. Współpraca z WIPO (Światową Organizacją Własności Intelektualnej), by „pozycjonować Polskę jako IP Innovation Hub", wyceniona zostaje na ponad 6 milionów złotych rocznie. Czemu aż tyle? Nie mamy jak się tego dowiedzieć. Opracowanie standardów „zielonej turystyki" to lekko ponad 3 miliony złotych. Zwiększenie liczby obiektów UNESCO w Polsce i promocja kraju jako „bramy kulturowej" – 9 milionów rocznie. Kampania edukacyjna „brandingu obywatelskiego" – 13,5 miliona złotych. Wielomilionowe pozycje zbyte są zaledwie kilkoma ogólnikowymi myślnikami – bez wyjaśnienia, w jaki sposób wpływać miałyby na pozycję polskiej marki, bez określenia celów, bez jakiegokolwiek głębszego uzasadnienia. Absolutnym rekordem jest jednak pomysł powołania nowego organu nadzorczego: „Presidential Council for Public Diplomacy". Ciało złożone z reprezentantów sześciu istniejących już i opłacanych z budżetu podmiotów, spotykających się raz w miesiącu, wycenione zostało na 90 milionów złotych rocznie. 90 milionów rocznie, których nie wliczono nawet do głównych wyliczeń budżetowych. W jaki sposób oddziaływać ma to na umacnianie „polskiej marki" i jej postrzeganie przez odbiorców zagranicznych?

„Strategia Marka Polska" nie ma większego sensu z marketingowego punktu widzenia. Im dłużej wpatrujesz się w wielki, półmiliardowy „Brand Polska", tym bardziej widzisz, że zrobiony jest z patyków obwiązanych kolorowym sznurkiem.

Brand (Uśmiechnięta) Polska

Pierwsza nasuwająca się na myśl hipoteza jest dość prosta: rozbudowana machina promocyjna powstaje nie po to, by wzmacniać pozycję Polski na arenie międzynarodowej, lecz po to, by zasilać kapitał polityczny obozu władzy w nadchodzących wyborach, tutaj, na scenie krajowej. Publiczne fundusze zostają w ten sposób przekierowane na kampanię wspierającą partię Donalda Tuska powielającą jego przekaz i modelującą nastroje społeczne pod bieżące potrzeby narracyjne. W Polsce jest fajnie i służba zdrowia też jest fajna – nie słyszeliście? Absurdalne budżety sfinansować muszą o wiele więcej niż tylko kampanię brandingową państwa. Mają w rzeczywistości utrzymać całą armię zaprzyjaźnionych agencji, mediów i organizacji, które w kluczowym momencie staną się tubą wyborczą obozu rządzącego.

Druga możliwość wcale nie napawa większym optymizmem, choć nie wyklucza się z pierwszą – i zależy głównie od tego, czy rację mają komentatorzy, którzy ogłaszają, że Donald Tusk powoli oswaja się z myślą o oddaniu władzy. Wyprowadzenie ponad pół miliarda złotych z budżetu państwa w przededniu politycznej zmiany pozwoliłoby obozowi postliberalnemu zamienić bolesny upadek w miękkie lądowanie i zapewnić sobie przewagę w nadchodzącym, mocno niespokojnym czasie. Wpompowane hojnym strumieniem w zaprzyjaźnione podmioty środki posłużyłyby do dofinansowania machiny politycznej, która – z perspektywy Donalda Tuska – musiałaby przetrwać „prawicową chwilę".

Na ten moment płynie nie wielki strumień, lecz liczne strumyczki. Procedury zamówień publicznych i zlecania prac analitycznych w polskiej administracji cierpią na chroniczny brak kontroli merytorycznej, od lat premiując zgodność formalną ponad jakością. Ma być dokument, więc dokument jest. Ma być strategia, więc powstaje strategia. Czasem nieco ciekawsza, kiedy indziej zdradzająca niewtajemniczonym, że II wojna światowa być może przyniosła Polsce szkody i straty demograficzne. Później ktoś podpisze protokół odbioru i kolejny most z patyków zostanie oficjalnie uznany za przejezdny.

> ROZBUDOWANA MACHINA PROMOCYJNA POWSTAJE NIE PO TO, BY WZMACNIAĆ POZYCJĘ POLSKI NA ARENIE MIĘDZYNARODOWEJ, LECZ PO TO, BY ZASILAĆ KAPITAŁ POLITYCZNY OBOZU WŁADZY W NADCHODZĄCYCH WYBORACH.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

Gospodarka

Warszawa jako zwornik łuku odporności NATO

Ukraina ani nie wygrywa wojny, ani też chyba wygrać jej nie może. Musimy w przyspieszonym tempie **szykować się na trudniejsze czasy**, które nadchodzą. Nasi zachodni sąsiedzi cierpią na chorobę zwaną autonomią strategiczną Europy i starają się budować formaty konkurencyjne dla NATO. W odpowiedzi na te działania Polska powinna budować inicjatywę wzmacniającą NATO, czyli format pogłębionej współpracy wewnątrz Sojuszu – „koalicję chętnych", których łączy wspólny interes bezpieczeństwa: bezpośrednia ekspozycja na zagrożenie ze strony Rosji. Koalicja mogłaby przyjąć nazwę ARC: łuk rozciągający się od USA i Kanady na północy przez Skandynawię i Polskę – jako państwo centralne dla tej inicjatywy – aż po Turcję na południu. Tylko taki łuk może nie tylko wytrzymać napór Rosji, ale też skutecznie ją odstraszyć.

Szczepan Ruman

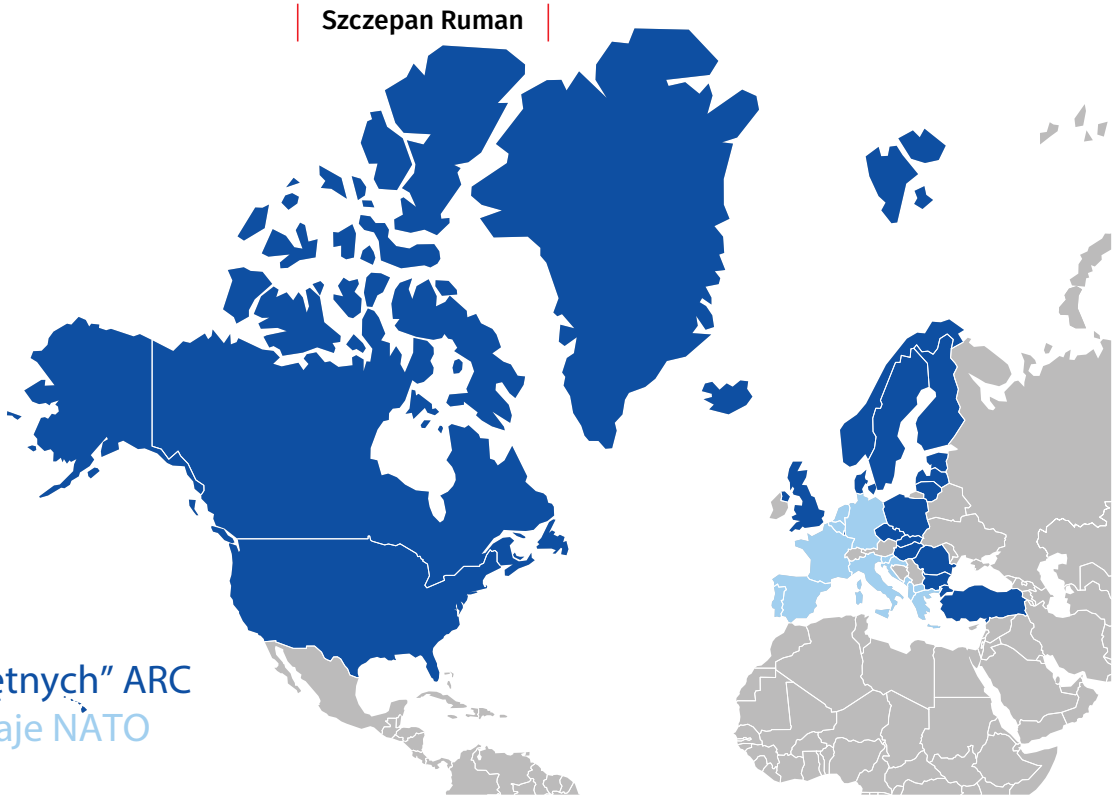

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 2b3a1a02cd

Winni wojny na Ukrainie są Niemcy. Warto tę oczywistą prawdę wypowiadać głośno dziś, gdy szykujemy się do nowego wymiaru rosyjskiej agresji wobec Europy, który ma się rozpocząć od jesieni tego roku. Gdyby nie niemiecka chciwość i deptanie solidarności europejskiej, czyli budowa Nord Stream 1 i 2 – nie byłoby dziś wojny. Rosja nie zaatakowałaby Ukrainy, gdyby była ona jedyną drogą tranzytu gazu do Niemiec. Ale Niemcy stawiały korzyści ekonomiczne dla siebie ponad interesami bezpieczeństwa Europy Środkowej. Warto dla porządku przypomnieć, że preferencyjne ceny zakupu gazu od Putina dla Niemiec były zaprzeczeniem najgłębszego fundamentu integracji europejskiej, czyli Wspólnot Węgla i Stali, których istotą był właśnie równy dostęp wszystkich państw do surowców strategicznych. No cóż: Niemcy wybrali preferencyjny dostęp dla siebie i rozbijali ten fundament, zresztą robili to w tym samym czasie, w którym pouczali nas o praworządności. Ich przemysł odebrał już częściowo karę za uzależnienie swojej konkurencyjności od kaprysów Putina, jednak nie oznacza to, że powinniśmy zapomnieć o tej gotowości Niemiec do rozbijania jedności Europy za korzyści od Rosji.

Niemiecką gotowość do szkodzenia sojusznikom z NATO i UE, takim jak Polska – w imię zacieśniania gazowych relacji z Rosją – Putin zinterpretował jako gotowość do zaakceptowania aneksji Ukrainy przez Rosję. Prawdopodobnie całkiem słusznie – gdyby Kijów padł w dwa tygodnie, z Niemiec nie dotarłyby nawet zardzewiałe hełmy. Po upadku Ukrainy Niemcy prawdopodobnie rozpoczęliby rozmowy pokojowe na przykład w „formacie mińskim", czyli z pominięciem Polski, w poszukiwaniu „kompromisu z Rosją taką, jaka ona jest". A gaz niezaburzenie płynąłby rurą pod Bałtykiem w jedną stronę, miliardy euro zaś w drugą. Wszak Europa wciąż – w piątym roku wojny – kupuje rosyjski gaz, a gazociągiem Nord Stream nie płynie on tylko dlatego, że rurę Putina i Angeli Merkel wysadzono, co niemiecka prokuratura pilnie ściga. To miliardy euro z Niemiec płacone za gaz z Nord Stream ufundowały armię napastniczą Putina.

Po co to wszystko przypominam? Żeby podkreślić, że interes bezpieczeństwa Polski – graniczącej z Rosją, na wpół anektowaną Białorusią i chwiejącą się Ukrainą – jest zupełnie inny nie tylko niż interesy Hiszpanii czy Francji, lecz także Niemiec – które od wielu miesięcy znów prowadzą intensywne rozmowy z Moskwą o przywróceniu biznesowych relacji na utarte tory (najpierw w Abu Zabi, a ostatnio w Sankt Petersburgu). W sprawach bezpieczeństwa nie ma co liczyć na Niemcy. Nie dość, że interesy mają zupełnie inne niż my, to jeszcze majaczą o „strategicznej autonomii Europy", tudzież „armii europejskiej" – którą miałyby formować rozbrojone państwa Europy Zachodniej, niezdolne do wystawienia kilku sprawnych dywizji lub średniej wielkości floty. Ostatnio zresztą Niemcy sami dobitnie pokazali, że nie chcą Polski bronić – wykluczając nasz kraj z inicjatywy dziewięciu europejskich państw i Ukrainy na rzecz wspólnej obrony przeciwrakietowej. Podczas gdy inicjatywa ta skończy zapewne podobnie jak pomysł wspólnej europejskiej armii, my powinniśmy budować zupełnie inną koalicję.

Wiarygodna współpraca może dotyczyć państw, które czują się zagrożone, bo mają bezpośrednią „linię styku" z Rosją. Taka linia może być również na morzu – dla państw z istotną ekspozycją na akweny, na których Rosja prowadzi agresywne działania. Na nasze szczęście do tak określonej grupy państw należą same Stany Zjednoczone, z ich ekspozycją na Arktykę i Morze Północne, które mogą być regionem wrogich rosyjskich działań – zarówno morskich, jak i rakietowych. Bezpieczeństwo na tych akwenach łączy się z bezpieczeństwem na Bałtyku. I tak tworzy się łuk państw: od USA i Kanady, przez Grenlandię, Islandię, Wielką Brytanię, Danię, Norwegię, Szwecję, Finlandię, Estonię, Łotwę, Litwę, aż do Polski. Jednak na naszym kraju łuk krajów bezpośrednio zagrożonych przez Rosję się nie kończy, lecz idzie dalej na południe przez Słowację (i mocno związane z nią Czechy), Węgry, Rumunię i Bułgarię, aż po Turcję – wszystkie te państwa mają bezpośredni styk z wojną na Ukrainie i są bardzo narażone, jeśli jej wynik ›

ARC – ALLIED RESILIENCE COMPACT – ŁUK BEZPIECZEŃSTWA, ODPORNOŚCI I DOBROBYTU, ROZPIĘTY OD USA NA PÓŁNOCNYM ZACHODZIE, PO TURCJĘ NA POŁUDNIOWYM WSCHODZIE – TO BYŁBY NATURALNY FORMAT WSPÓŁPRACY WEWNĄTRZ NATO.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

będzie niepomyślny dla Zachodu.

Kraje nordyckie są dla Polski szczególnie ciekawym partnerem na wielu płaszczyznach: po pierwsze wyznaczają najwyższe standardy w zakresie społecznej odporności na kryzysy, obrony cywilnej, samowystarczalności militarnej oraz obfitują w mocny przemysł obronny, a po drugie: łączny PKB państw Europy Północnej, których wspólną cechą jest krzyż na fladze (a więc Skandynawii wraz z Wielką Brytanią i Islandią), jest o 20% większe niż PKB Niemiec, które są dziś niebezpiecznie dominującym partnerem handlowym dla Polski. Budowa drugiego filaru współpracy gospodarczej – opartego na makroregionie bałtycko-nordyckim – byłaby dla Polski wiarygodną strategią dywersyfikacji motorów naszego wzrostu gospodarczego.

Jeśli chcemy uniknąć pułapki rozwoju zależnego od Niemiec, to współpraca z Północą jest dla nas najlepszą strategią. Otwiera nas ona także na zacieśnianie relacji transatlantyckich i dalszy rozwój współpracy z USA. Państwa tradycyjnie rozumianego Trójmorza nie mają same w sobie takiej skali ani chłonności rynków, żeby realnie stać się dla Polski istotnym uzupełnieniem dla relacji gospodarczych z Niemcami. Dopiero otwarcie na Skandynawię na północy, a Turcję na południu zmienia ten obrazek. Turcja – druga armia NATO – ma również bardzo dobrze rozwinięty przemysł zbrojeniowy i asertywną postawę wobec Rosji, a Polska ma z Turcją tradycyjnie dobre relacje.

ARC – Allied Resilience Compact – Łuk Bezpieczeństwa, Odporności i Dobrobytu, rozpięty od USA na północnym zachodzie po Turcję na południowym wschodzie – to byłby naturalny format współpracy wewnątrz NATO. No właśnie – w odróżnieniu od różnych dziwnych formatów powoływanych ostatnio nasz Łuk opierałby się tylko na państwach Sojuszu Północnoatlantyckiego. Byłby zamkniętą – ograniczoną do enumeratywnie wymienionych krajów – koalicją chętnych. Nasz Łuk wspierałby prozachodnie tendencje na Białorusi oraz wojenny wysiłek Ukrainy – ale żadne z tych państw ani nie byłoby członkiem, ani też nie miałoby perspektywy członkostwa bez uprzedniego przyjęcia do NATO. Ewentualna pełna aneksja Białorusi lub też przegrana Ukrainy byłyby dla państw Łuku wyzwaniami, do których się przygotowujemy, natomiast nie oznaczałyby upadku naszej koalicji. W przeciwieństwie do niemieckiej inicjatywy dziewięciu państw Europy i Ukrainy w zakresie obrony przeciwrakietowej, w której w przypadku upadku Ukrainy – upadnie cała inicjatywa.

Dwie najsilniejsze armie NATO (USA i Turcja) mają interesy bezpieczeństwa spójne z naszymi, a każde z państw może stanowić solidny fundament jednego z ramion naszego Łuku: USA – ramię północne, Turcja – południowe. Koalicja chętnych – obejmująca wyśmienite przykłady odporności społecznej z państw Nordyckich oraz silne przemysły zbrojeniowe Europy Północnej i Turcji – narzuca się sama. Łuk to dobra nazwa: w wojskowości łuk odstrasza, lepiej nie wchodzić w zasięg jego strzału, a w architekturze łuk jest konstrukcją niesłychanie odporną na nacisk. Najważniejszy w architektonicznym łuku jest zwornik, który spaja jego ramiona. Zwornikiem Łuku Odporności NATO powinna być Warszawa łącząca ramię północne – idące przez Bałtyk i Morze Północne – z ramieniem południowym – wystawionym na presję z Ukrainy i Morza Czarnego.

W Warszawie byłaby więc siedziba i sekretariat nowej inicjatywy bezpieczeństwa wewnątrz NATO: Łuku Odporności i Odstraszania. A gospodarczo możemy na takiej inicjatywie zyskać komplementarny w stosunku do Niemiec kierunek rozwoju międzynarodowej współpracy biznesowej. Wydaje się więc, że na kształtowaniu w ten sposób naszych relacji międzynarodowych stracić nie możemy: na wypadek wojny zyskujemy najlepsze praktyki odporności społecznej i twardych sojuszników, a na czas pokoju – nowe perspektywy rozwoju współpracy gospodarczej. Podjęcie wysiłków dyplomatycznych na rzecz budowy takiej koalicji powinno zatem stać się bezdyskusyjną racją stanu dla polskich polityków, aby wzmocnić bezpieczeństwo i siłę gospodarczą Polski.

JEŚLI CHCEMY UNIKNĄĆ PUŁAPKI ROZWOJU ZALEŻNEGO OD NIEMIEC, TO WSPÓŁPRACA Z PÓŁNOCĄ JEST DLA NAS NAJLEPSZĄ STRATEGIĄ. OTWIERA NAS ONA TAKŻE NA ZACIEŚNIANIE RELACJI TRANSATLANTYCKICH I DALSZY ROZWÓJ WSPÓŁPRACY Z USA.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

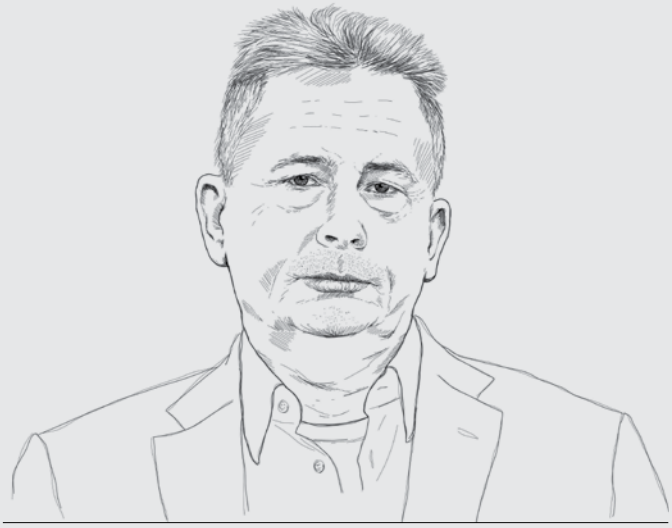

Piotr Skwieciński

„Frygijczycy", czyli przemija postać świata

Francuskie media poinformowały, że od kilku miesięcy dla skrajnie lewicowej partii Jeana-Luca Mélenchona pracuje tajna organizacja, złożona z wysokiej rangi urzędników. Nazywają się „Frygijczykami", co jest aluzją do symbolizującej rewolucję francuską czapki frygijskiej. Ich liczba od maja wzrosła z 30 do około 80. Sporo.

Inne francuskie partie, w tym lepenowskie Zjednoczenie Narodowe, też odwołują się do sympatyzujących urzędników. Korzystają tu jednak z tradycyjnej formuły think tanków, rekomendujących partyjnym decydentom jakieś kierunkowe rozwiązania różnych problemów. „Frygijczycy" przygotowują natomiast błyskawiczne przejęcie struktur państwa, by uprzedzić i zneutralizować niechęć, jaką w urzędach i służbach wzbudza tam – mimo wszystko – Mélenchon ze swą ideą zbudowania we Francji nowego typu komunizmu przez muzułmańskich migrantów – tak, by raz na zawsze uniemożliwić w przyszłości marzenia o przywróceniu dominującej roli tradycyjnej kultury francuskiej.

Można to skomentować na kilka sposobów. Narzucający się – to konstatacja faktu, iż elity francuskie (ale dotyczy to również innych krajów zachodnich) coraz bardziej biorą mentalny rozbrat z narodową tożsamością. Powtórzmy: Mélenchon to jest realnie perspektywa nie tylko jakiejś próby przywrócenia do życia utopijnej Komuny Paryskiej, ale również trwałego przejęcia w niej pałeczki przez obcych kulturowo przybyszy, którzy będą kraj – za zgodą francuskiej radykalnej lewicy – islamizować. On sam tak nie mówi, ale praktyka jego partii czyni taką perspektywę oczywistą. „Frygijczycy" najwyraźniej co najmniej godzą się na taką przyszłość.

Ale jest i drugi, bardziej uniwersalny aspekt tej sprawy.

Chodzi o to, że w krajach wspólnoty zachodniej coraz wyraźniej rozmywa się dawne, ponadpartyjne poczucie zasad. Poczucie tego, co nieco patetycznie określano jako instynkt państwowy. Przeświadczenie, że wszelkie wewnętrzne kontrowersje nie zmieniają podstawowego faktu: państwo jest wspólne. A wszelkie zmiany muszą być realizowane z uwzględnieniem tegoż. Co oznacza co najmniej jakiś minimalny poziom uzgodnień i kompromisu z innymi stronami. I to, że państwo – to znaczy również jego aparat – ma służyć państwu, a nie partii.

Otóż to się zmienia, i to zasadniczo. Spektakularnie pokazała to, oczywiście, Ameryka – wojna „deep state" z Donaldem Trumpem i późniejszy o kadencję odwet ruchu MAGA już nie tylko na samym „głębokim państwie", ale na wszystkich w administracji i szerzej – wszystkich będących w zasięgu władzy federalnej, którzy nie dawali dowodu, iż utożsamiają się z trumpistami. Polska od dawna jest na tej samej drodze – jak pisał Adam Mickiewicz: „Zbłądziliśmy i nikt tu z nas nie jest bez winy" – ale bynajmniej nie bije rekordów.

Niektórzy twierdzą, że wyjściem z tej sytuacji może być tradycyjny patriotyzm, przypomnienie sobie anglosaskiej zasady „wrong or right, my country" (to moja ojczyzna, czy ma rację, czy nie – czyli że bezdyskusyjna i podstawowa jest lojalność wobec własnego kraju niezależnie od tego, czy zgadzamy się z aktualnymi decyzjami podejmowanymi przez sprawującą władzę większość). Chciałbym, żeby tak było, ale trudno mi uwierzyć w realność takiej perspektywy. Procesy ideologicznego rozpadu społeczeństw, sądzę, zaszły już za daleko.

Może więc po prostu trzeba się pogodzić z tym, że dla naszych wnuków samo wspomnienie, że kiedyś istnieli jacyś Polacy czy inni Francuzi, będzie czymś dziwacznym?

Że już nigdy nie będziemy razem?

Chyba że... coś się zmieni. Ostatecznie tyle oczywistych i niekwestionowanych fundamentów świata nieoczekiwanie zmieniło się w ciągu ostatnich dekad, że trudno wykluczyć, iż coś nagle zdezaktualizuje również ten trend rozpadu.

I to jest chyba jedyny możliwy sposób, żeby zakończyć ten felieton czymś w miarę optymistycznym. S

eprasa.pl 2b3a1a02cd

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO



Pozłacany wiek Polski

Zdzisław Krasnodębski

Afery i skandale są dobrym wskaźnikiem tego, jaki jest stan jakiejś społeczności, jakie jest jej morale, poczucie przyzwoitości, ale także stan zamożności i hierarchia społeczna. To, co nas oburza, co nam się nie mieści w głowie, ale także odwrotnie – to, jakie wykroczenia i przestępstwa są popełniane i przez kogo, pozwala nam lepiej zrozumieć, w jakiej epoce żyjemy.

Otóż dzisiejsze wydarzenia pokazują, że Polska wkroczyła w swój „Gilded Age", czyli pozłacany wiek. Lata 90. to dość typowa przestępczość kraju biednego, peryferyjnego, jakieś w gruncie rzeczy biedamafie, gangi złodziei samochodów, jacyś efemeryczni oligarchowie, byli cinkciarze, przydrożna prostytucja. Komunistyczna nomenklatura się uwłaszczała, w awanturniczym, dzikim kapitalizmie rządziło prawo pięści, a zatrudnienie się w zagranicznej korporacji było uchwyceniem Pana Boga za nogi, a tzw. zwykli ludzie masowo wyjeżdżali na „saksy", by utrzymać rodzinę.

Dawne formy przestępczości, występku i bogacenia się za wszelką cenę nadal istnieją. Niektóre nawet na nowo się ożywiły wskutek migracji i rządów Donalda Tuska, ale to nie one są dziś najistotniejsze. W tej epoce chciwość – ta stała przypadłość człowieka przybierająca jednak różne formy – jest zaletą, a powodowane nią zachowania są bardziej „światowe" i w wielu środowiskach akceptowalne. Polska współczesna godna jest doprawdy pióra Balzaca. Jakżeż barwna jest nasza paleta dochodowych nadużyć, łatwych zysków, możliwości, by coś i siebie spieniężyć, by zręcznie przekierować strumień pieniędzy do własnej kieszeni. Unijne pieniądze popłynęły na jachty i kluby swingerskie, kryptowaluty rozpłynęły się nie wiadomo gdzie, odszkodowania dla powodzian zasilały krewnych i znajomych działaczy KO, centra wielkich miast zmienione zostały na lunaparki i miejsca dokarmiania kloszardów, ulicami paradują praktycy miłości i zboczeń wszelkiego rodzaju, kwitną „wynajem krótkoterminowy" i „konsulting" wszelkiego rodzaju oraz handel danymi, natomiast używanie nazwiska w recepcji hotelu czy przychodni zdrowia uważane jest za naruszenie prywatności.

Tak jak w przeszłości najlepiej działać na styku państwa, lecz teraz to państwo jest o wiele bogatsze, więc i zyski z żerowania na nim są o wiele większe. Ostatni skandal w służbie zdrowia pokazuje to wyraźnie. Jeszcze całkiem niedawno niskie zarobki w służbie zdrowia sprawiały, że lekarze wyjeżdżali za granicę, przed KPRM od czasu do czasu koczowało „białe miasteczko". Dzisiaj lekarze w Polsce często zarabiają więcej niż np. w Niemczech. Kiedyś budzącym publiczne oburzenie, lecz powszechnym procederem były wręczane w kopertach łapówki – dla tych bardziej nieśmiałych w formie wpłat na fundację. Dziś można się łapczywie bogacić, niemal legalnie, nie kompromitując się „kopertami". Obecnie stan prawny naszego już znowu praworządnego państwa umożliwia

W TEJ EPOCE CHCIWOŚĆ – TA STAŁA PRZYPADŁOŚĆ CZŁOWIEKA PRZYBIERAJĄCA JEDNAK RÓŻNE FORMY – JEST ZALETĄ, A POWODOWANE NIĄ ZACHOWANIA SĄ BARDZIEJ „ŚWIATOWE" I W WIELU ŚRODOWISKACH AKCEPTOWALNE.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

lekarzom wyciskanie z NFZ ogromnych pieniędzy dla siebie – kosztem szpitali, w których wykonuje się zabiegi i operacje, oraz kosztem podatników. Dobro pacjenta jest w tej epoce czymś zupełnie drugorzędnym. Chodzi o to, by wykonać jak najwięcej jak najbardziej intratnych zabiegów w jak najkrótszym czasie. Wyselekcjonowanych w prywatnych gabinetach pacjentów operuje się w publicznych placówkach zdrowia za publiczne pieniądze, by potem znowu leczyć ich prywatnie.

Zapobiegliwy dr Dawid Kacprzyk jest cudownym „dziecięciem wieku". Funkcjonował w ramach bzdurnego, ale dla niektórych bardzo intratnego systemu. Jest symptomem demoralizacji całego zawodu, całego środowiska uchodzącego kiedyś za „inteligenckie". O stanie tego zawodu świadczy powszechne milczące przyzwolenie całego środowiska lekarzy na tego rodzaju praktyki, brak głosów wskazujących na nieprawidłowości domagających się przywrócenia zasad zawodowej etyki. Wyjątki tylko potwierdzają regułę.

Podobna demoralizacja występuje w środowisku naukowym. Pani Barbara Mróz-Gorgoń także uosabia epokę. Wykroczyła ona wprawdzie poza przeciętność swoją aktywnością, aparycją, pewnością siebie i koneksjami, ale nie tylko ona mówi tym śmiesznym wolapikiem, który przykrywa banał i maskuje całkowitą pustkę intelektualną.

Nie ma już katedr na uniwersytetach, nie ma „szkół naukowych", nie ma naukowych debat, jest pogoń za „grantami", za „punktami". Większość doktoratów i habilitacji to prace zupełnie zbędne – nikt ich nie czyta poza recenzentami (a i oni często wymigują się od tego obowiązku), bo są pisane na stopień, a nie po to, by wniosły cokolwiek do nauki czy do debaty publicznej. Co druga uczelnia może – nie wiadomo dlaczego – nosić nazwę uniwersytetu, choć w rzeczywistości jest zaledwie szkołą zawodową wyższego stopnia. A na prawdziwych uniwersytetach ciągle istnieją ogromne wydziały nauk społecznych – spadek po PRL – z których nie ma żadnego pożytku: ani duchowego, ani materialnego. Nigdzie na świecie nie ma takiego zagęszczenia socjologów i politologów na metr kwadratowy jak na Krakowskim Przedmieściu. Gdyby większość z nich zaprzestała swej działalności, nikt nie zauważyłby różnicy.

Można się pocieszać, że nasze skandale – co tydzień inne – świadczą, że wreszcie dogoniliśmy „Zachód". Tam Jeffrey Epstein, tu lokalna działaczka KO z Kłodzka śmiało przekraczająca bariery gatunkowe w poszukiwaniu autorealizacji, tam gwiazdorski prof. Jason Arday uprawiający „autoetnografię", tu prof. Barbara Mróz-Gorgoń z jej „automarketingiem".

Ta nasza „pozłacana epoka" ma ciemną, brutalną stronę. Istnieją zjawiska, które czekają na swoich reporterów, na socjologów, którzy mieliby dość talentu, uczciwości i odwagi cywilnej, by – kontynuując tradycję „szkoły chicagowskiej" – je opisać: na przykład wielki biznes „reprodukcyjny" docierający już do Polski albo wielki biznes imigracyjny, rosnący dzięki pozytywnym opiniom w mediach zachodnich o naszym kraju, których uboczną funkcją jest przekierowywanie presji imigracyjnej w stronę Polski. I w tym wypadku tylko chciwość może wyjaśnić pozorne absurdy naszej polityki – pozorne, bo dobrze służą pewnym interesom. Trudno na przykład zrozumieć, dlaczego Polska, mając na mocy wspaniałomyślnej polityki unijnej ruch bezdewizowy z tak znanymi z praworządności krajami jak Wenezuela czy Kolumbia, dopiero w sierpniu tego roku zdecydowała się na rozporządzenie, które wyłącza możliwość pracy dla obywateli tych krajów na podstawie zezwolenia na pracę w trakcie pobytu bezwizowego. Czy chodzi o ochronę takich modeli biznesowych jak ten, o którym ostatnio mi opowiadano, w którym skoszarowani, pozostający całymi dniami w zamknięciu, by nie straszyli miejscowych, „legalni" imigranci są przewożeni do pracy na zmiany w pobliskim zakładzie? Gdy jedni śpią, inni pracują, a biznes się kręci.

ZAPOBIEGLIWY DR DAWID KACPRZYK JEST CUDOWNYM „DZIECIĘCIEM WIEKU". FUNKCJONOWAŁ W RAMACH BZDURNEGO, ALE DLA NIEKTÓRYCH BARDZO INTRATNEGO SYSTEMU. JEST SYMPTOMEM DEMORALIZACJI CAŁEGO ZAWODU, CAŁEGO ŚRODOWISKA UCHODZĄCEGO KIEDYŚ ZA „INTELIGENCKIE".

eprasa.pl 2b3a1a02cd

Zagranica

Bułgaria goni EUROPĘ

O Bułgarii mówi się – poza sezonem turystycznym rzecz jasna – z rzadka. O ile nie myślimy o dosyć popularnych w Polsce rodzinnych wczasach w okolicach Burgas, zapewne słyszymy o niej w kontekście **niekończącego się** ciągu wyborów parlamentarnych czy wstąpienia do strefy euro.

Hanna Szymerska



KURORTY TAKIE JAK BANSKO CZY BOROWEC PRZYCIĄGAJĄ W OSTATNICH LATACH CORAZ TO LICZNIEJSZYCH AMATORÓW SPORTÓW ZIMOWYCH.

Bansko to dziesięciotysięczne miasteczko położone u podnóża Pirynu

Fot. Adobe Stock

Chaos polityczny zdaje się obecnie uspokajać po zwycięstwie Rumena Radewa, a wprowadzenie euro znacząco wpłynęło na ceny w tym państwie. To, o czym warto jednak powiedzieć, poczynając od komentarzy o wspólnej walucie, to sytuacja Bułgarii na arenie europejskiej. Bo tak jak inne kraje Europy państwo to znajduje się w sytuacji, w której może się wykazać albo – wręcz przeciwnie, zamiast odgrywać rolę tygrysa na wzór Polski czy wschodzącej gwiazdy, sąsiedniej Rumunii, stać się chorym człowiekiem Starego Kontynentu. Scenariuszy jest wiele.

Etatysta na fotelu premiera

Mówiąc o sytuacji Bułgarii, należy mieć na uwadze niedawny kryzys parlamentarny. Liczbę przeprowadzonych w tym kraju wyborów można śmiało porównać do prób utworzenia rządu w Izraelu: jeden gabinet za drugim upadał, a sami Bułgarzy zdawali się wściekli na klasę polityczną, organizując w grudniu ubiegłego roku największe protesty od 1989 roku. Z pata wyprowadził kraj Rumen Radew, nowy premier wybrany na to stanowisko wiosną tego roku. W wyborach do bułgarskiego parlamentu wygrała zaangażowana w wybory Progresywna Bułgaria, socjalkonserwatywna partia Radewa. Jej wynik – 131 miejsc w 240-osobowym parlamencie – jest niewątpliwie imponujący. Mówimy tu o pierwszej od prawie 30 lat (od 1997 roku) większości konstytucyjnej jednej partii. Frekwencja również dopisała – do urn wybrało się 51% uprawnionych do głosowania, co jest najwyższym wynikiem od początku kryzysu politycznego. Kim jest człowiek, któremu zaufali Bułgarzy, a którego liberalne media okrzyknęły „bułgarskim Orbánem”? Wywodzi się z postkomunistycznej Bułgarskiej Partii Socjalistycznej, która chociaż obecnie sromotnie dała się pokonać progowi wyborczemu, jeszcze w latach 90. wymieniała się władzą z centroprawicą, tworząc typowy dla państw regionu duopol. Prywatnie jest ojcem dwojga dzieci, z wykształcenia pilotem wojskowym, który w wojsku spędził trzy dekady, i byłym prezydentem – przy czym w Bułgarii głowa państwa nie ma zbyt wielu prerogatyw. Nie miał nigdy w ręku władzy wykonawczej, ale za to stworzył swoje własne ugrupowanie, dosyć późno zgłaszając je w wyborach. Miał za to dobrze wykreowany wizerunek polityka statecznego, oddanego sprawie, wolnego od niejasnych układów, skromnego i odnoszącego się z szacunkiem do ludzi pracy. Na sztandarach niósł przede wszystkim walkę z korupcją, zrównoważony rozwój kraju, waloryzację świadczeń socjalnych, modernizację armii i poprawę służby zdrowia. W sprawach międzynarodowych dało się wyczuć suwerennościowy ton: zachowawczość wobec Ukrainy (tu należy zaznaczyć, że społeczeństwo bułgarskie ma dużo bardziej zachowawcze podejście do wojny za naszą wschodnią granicą niż polskie i że swego czasu Bułgaria wystąpiła do Komisji Europejskiej w sprawie bezpieczeństwa żywnościowego w związku z importem ukraińskiego zboża), sprzeciw wobec unijnej polityki migracyjnej i krytyka przyjęcia euro. Na uwagę zasługuje także kampania premiera, który przed wyborami objechał cały kraj, rozmawiając z mieszkańcami. Nie wykluczał przy tym mieszkańców większych ośrodków; w programie partii przewidziano rozwiązania także dla sportowców, artystów i ludzi nauki. Wystąpił także o poparcie licznej diaspory bułgarskiej pozostającej poza granicami, której sprawami obiecał się zainteresować. I stało się. Etatysta zasiadł na bułgarskim fotelu premiera. Premier wybrany głosami całego przekroju społecznego, zwłaszcza młodych i zawiedzionych niegodną zaufania, wiecznie zmieniającą się władzą. Tymczasem skompromitowana partia byłego szafa rządu Rosena Żelazkowa GERB straciła połowę swojego poparcia. Najwyższy czas na nowe otwarcie w bułgarskiej polityce.

W gąszczu bułgarskich problemów

Jednym z wyzwań jest kryzys polityczny, który został chwilowo zażegnany, drugim – ogólna sytuacja kraju. Bułgaria zawsze była w cieniu wielkich wydarzeń; złośliwi powiedzieliby, że nawet bułgarski komunizm upadał po cichu (zwłaszcza w porównaniu z sąsiednią

RUMEN RADEW WYWODZI SIĘ Z POSTKOMUNISTYCZNEJ BUŁGARSKIEJ PARTII SOCJALISTYCZNEJ, PRYWATNIE JEST OJCEM DWOJGA DZIECI, Z WYKSZTAŁCENIA PILOTEM WOJSKOWYM I BYŁYM PREZYDENTEM BUŁGARII.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

Rumunią). Nie oznacza to, że zawsze panowały tam spokój i stabilizacja. Obecnie największym problemem życia codziennego Bułgarów jest wzrost cen w związku z wejściem kraju do strefy euro. Te osiągnęły poziom znany z naszego rynku usług – a przeciętny Bułgar miesięcznie zarabia około 60% tego, co pojawi się na koncie przeciętnego (co dziesiątego) Polaka. Samo w sobie wprowadzenie nowej waluty i zaplanowanie w niej budżetu stało się w grudniu ubiegłego roku pewnym zapalnikiem dla rozgorzałych w całym kraju protestów. Co istotne, były one zdominowane przez młodzież. Poruszano na nich także problem zmiany systemu podatkowego, który w związku z nowelizacją uderzy w mniej zamożnych, oraz korupcji i oligarchizacji – Bułgaria jest drugim najbardziej skorumpowanym państwem UE po Węgrzech, a w dodatku niesławna praktyka przyjmowania łapówek obejmuje nie tylko urzędników i klasę polityczną – stosują ją nawet farmaceuci i pracownicy służby zdrowia. W wyliczance problemów należy wspomnieć również o braku perspektyw w kraju: pracę można znaleźć w Złotych Piaskach czy w Sofii, ale na prowincji widzimy wyludnienie i zaniedbaną infrastrukturę transportową. Problem dotyka także postindustrialnych średnich miast. Część młodych opuszcza rodzinne gniazda, nie wracając do nich częściej niż po tzw. słoiki, a część decyduje się na wyjazd z kraju do Niemiec czy innych państw starej Unii. Ci, którzy pozostali, też nie zawsze zakładają rodziny. Społeczeństwo bułgarskie się starzeje, zwłaszcza na terenach niezurbanizowanych. Jest to jedno z najstarszych społeczeństw w Europie, a oliwy do ognia dolewa emigracja wykształconych Bułgarów w wieku produkcyjnym i rozproszona opieka medyczna w skali kraju – dobre leczenie czy opieka okołoporodowa w Sofii nijak się mają do realiów prowincji. Współczynnik dzietności w tym państwie w 2003 roku wyniósł zaledwie 1,26 dziecka na kobietę, co czyni ten wynik skrajnie niskim. Jednocześnie widzimy, jak na naszych oczach ta statystyka się zmienia na lepsze.

BUŁGARII UDAŁO SIĘ OSIĄGNĄĆ COŚ NIEBYWAŁEGO: ODWRÓCIĆ TRENDY WE WSPÓŁCZYNNIKU DZIETNOŚCI.

Demografia jest przyszłością, teraźniejszością zajmie się biznes

Bułgarii udało się osiągnąć coś niebywałego: odwrócić trendy we współczynniku dzietności. Obecny nie gwarantuje co prawda zastępowalności pokoleń, ale sama w sobie zmiana z 1,26 dziecka na kobietę do przedziału między 1,7 a 1,85 w ubiegłych latach jest imponująca. Bułgarki mają prawo do długich urlopów macierzyńskich (roczny urlop płatny w wysokości 90% wynagrodzenia), a ich partnerzy mogą wziąć dwumiesięczny płatny urlop rodzicielski. Zniesiono również opłaty za żłobki i przedszkola. Jeśli trend się utrzyma, Bułgaria będzie miała pewną przewagę nad resztą kontynentu. Warto również zaznaczyć, że w kwestii dzietności jest w chwili obecnej jednym z europejskich liderów. Jednocześnie, o ile demografia niewątpliwie jest przyszłością, o tyle w teraźniejszości nierzadko rządzi biznes. I ten właśnie przenosi się do Bułgarii. Pamiętamy jeszcze czasy, gdy kolejne korporacje otwierały swoje oddziały w Polsce. Dzisiaj część z nich próbuje szczęścia na ziemi trackiej, a wśród nich znajdują się także polskie firmy, a nawet ukraińscy przedsiębiorcy. Przede wszystkim, jakby na to nie patrzeć, państwo to należy do Unii Europejskiej, co daje dostęp do wspólnego rynku. W Bułgarii płace dalej są niskie w skali Europy, a kraj kusi inwestorów również mniej skomplikowaną biurokracją. Nie bez znaczenia pozostaje także aspekt podatkowy. Lokalny CIT jest wyjątkowo niski, stawka wynosi 10%, a pozostałe przepisy podatkowe także nie są skomplikowane. Do tego dochodzą koszty najmu powierzchni biurowej czy jej zakupu, znacznie niższe niż w państwach starej Unii czy nawet w naszym kraju. Sami w sobie Bułgarzy korzystają na zmniejszeniu

NIEWĄTPLIWIE BUŁGARIA SIĘ ZMIENIA. NIE JEST TO JUŻ TEN KRAJ, O KTÓRYM ZWYKLIŚMY MÓWIĆ: „POSTKOMUNISTYCZNY”, „BIEDNY” I „ZACOFANY”.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

bezrobocia, chociaż nie są jedynymi pracownikami nowych biur. Zdarzają się przypadki poszukiwania przez przedsiębiorców na polskich portalach chętnych do pracy z relokacją chociażby do Sofii. I w zasadzie można by było postawić tu kropkę z napisem „Happy end", ale warto się pochylić nad tą tendencją. Nie jest tajemnicą, że długofalowo ten konkretny trend nie musi się utrzymać. Znamy to dobrze z naszego podwórka i widzimy firmy, które w ostatnich latach przenosiły się do Rumunii i Bułgarii bądź do śródziemnomorskich rajów podatkowych, pozostawiając za sobą puste wieżowce w centrum Krakowa. Natomiast nie tylko dzięki zagranicznym firmom gospodarka bułgarska ożywa. Na popularności zyskuje turystyka w tym kraju i to – wbrew pozorom – zimowa. Kurorty takie jak Bansko czy Borowec przyciągają w ostatnich latach coraz liczniejszych amatorów sportów zimowych. Nie należy się temu dziwić – już w czasach Todora Żiwkowa w 1986 r. Bansko organizowało Bałkaniadę Narciarską. Kraj jest bezpieczny, a ceny w ośrodkach narciarskich zdecydowanie mniej nadwyrężają kieszeń w porównaniu do cen w Alpach. Między grudniem 2024 r. a marcem 2025 r. liczba rejestracji turystów w bułgarskich obiektach noclegowych wyniosła około 1,99 mln, wobec około 1,90 mln rok wcześniej. Szczególnie mocny był napływ cudzoziemców: np. w styczniu 2025 r. było ich 168,9 tys., wobec 141,3 tys. rok wcześniej. Wśród nich pojawili się także narciarze z państw Europy Zachodniej. Za Banskiem rośnie też popularność Borowca i Pamporowa, a wraz z nimi rozwój infrastruktury sportowej czy biznesów związanych ze strefami après-ski. Sezon 2025 został określony mianem absolutnego rekordu. I nic nie wskazuje na możliwość odwrócenia tej statystyki w następnych latach.

Bułgaria nie jest już tym, za co ją postrzegaliśmy

Niewątpliwie Bułgaria się zmienia. Nie jest to już ten kraj, o którym zwykliśmy mówić: „postkomunistyczny", „biedny" i „zacofany". Owszem, w wielu miejscach zobaczymy niewyremontowane bloki pamiętające Żiwkowa, Bułgarzy nie będą rozumieli angielskiego, a podróż z miasta do miasta zajmie zdecydowanie więcej niż przebycie tej samej odległości w Polsce. Może nawet poczujemy się zgorszeni widokiem bezdomnego psa, których swoją drogą jest coraz mniej. Ale jednocześnie nie możemy nie zauważyć progresu, jaki ten kraj osiągnął. To już nie są europejskie peryferia. Bułgaria nie jest już w naszej świadomości jedynie Złotymi Piaskami czy innymi „tanimi wakacjami nad Morzem Czarnym"– rozwija się turystyka zimowa, rozwija się turystyka całoroczna, bo i bułgarskie miasta, takie jak Płowdiw czy Wielkie Tyrnowo przyciągają amatorów historii z całego kontynentu. Lotnisko imienia Wasyla Lewskiego w Sofii przyjmuje coraz więcej pasażerów i aktywnie dąży do tytułu portu lotniczego o znaczeniu regionalnym. Obecnie planowana jest jego kolejna rozbudowa. O ile przyjęcie wspólnej waluty unijnej jest negatywnie komentowane przez mieszkańców (i przez zawiedzionych wysokimi cenami turystów), o tyle sytuacja polityczna pomimo przyjęcia nowej waluty zdążyła się ustabilizować. Nowy premier cieszy się zaufaniem połowy Bułgarów. Oczywiście nie wszystkie problemy zostały rozwiązane. Nie wszystkie też da się szybko rozwiązać, zwłaszcza mając na uwadze różnice między poszczególnymi regionami. To, że firmy przeniosą się do Sofii, nie zmieni diametralnie sytuacji we wsi pod czterdziestotysięcznym Dimitrowgradem (z którego notabene pochodzi obecny premier). Można oczywiście widzieć kolejne niewiadome: „czy utrzyma się władza?", „czy Bułgarzy dalej będą wyjeżdżali za chlebem?", „czy wskaźniki dzietności się utrzymają?". Jednak można też zobaczyć pewien cel, który Bułgaria sobie obrała. Zarówno Radew, jak i jego środowisko, złożone w większości z lokalnych osobistości i nieznanych dotychczas twarzy, nie skupiają się na wizji Bułgarii jako chorego człowieka Europy, jako państwa z góry skazanego na „zacofanie". Zamiast tego mówią o aspiracjach do stania się liderem regionalnym, państwem suwerennym, które ma dbać o dobro wspólne. Stosując tę retorykę, przyciągnęli do siebie bułgarskich wyborców. I chociaż nie wiemy, czy urzędujący premier i jego środowisko rzeczywiście dotrzymają obietnic wyborczych, widzimy jedno: Bułgarzy chcą zmian. Bułgarzy chcą być kolejnym „tygrysem" Europy. I być może właśnie ten scenariusz przyniesie przyszłość.

> NIE WIEMY, CZY URZĘDUJĄCY PREMIER I JEGO ŚRODOWISKO RZECZYWIŚCIE DOTRZYMAJĄ OBIETNIC WYBORCZYCH, ALE WIDZIMY JEDNO: BUŁGARZY CHCĄ ZMIAN.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

Społeczeństwo

Dzieciofobia gorsza OD FASZYZMU

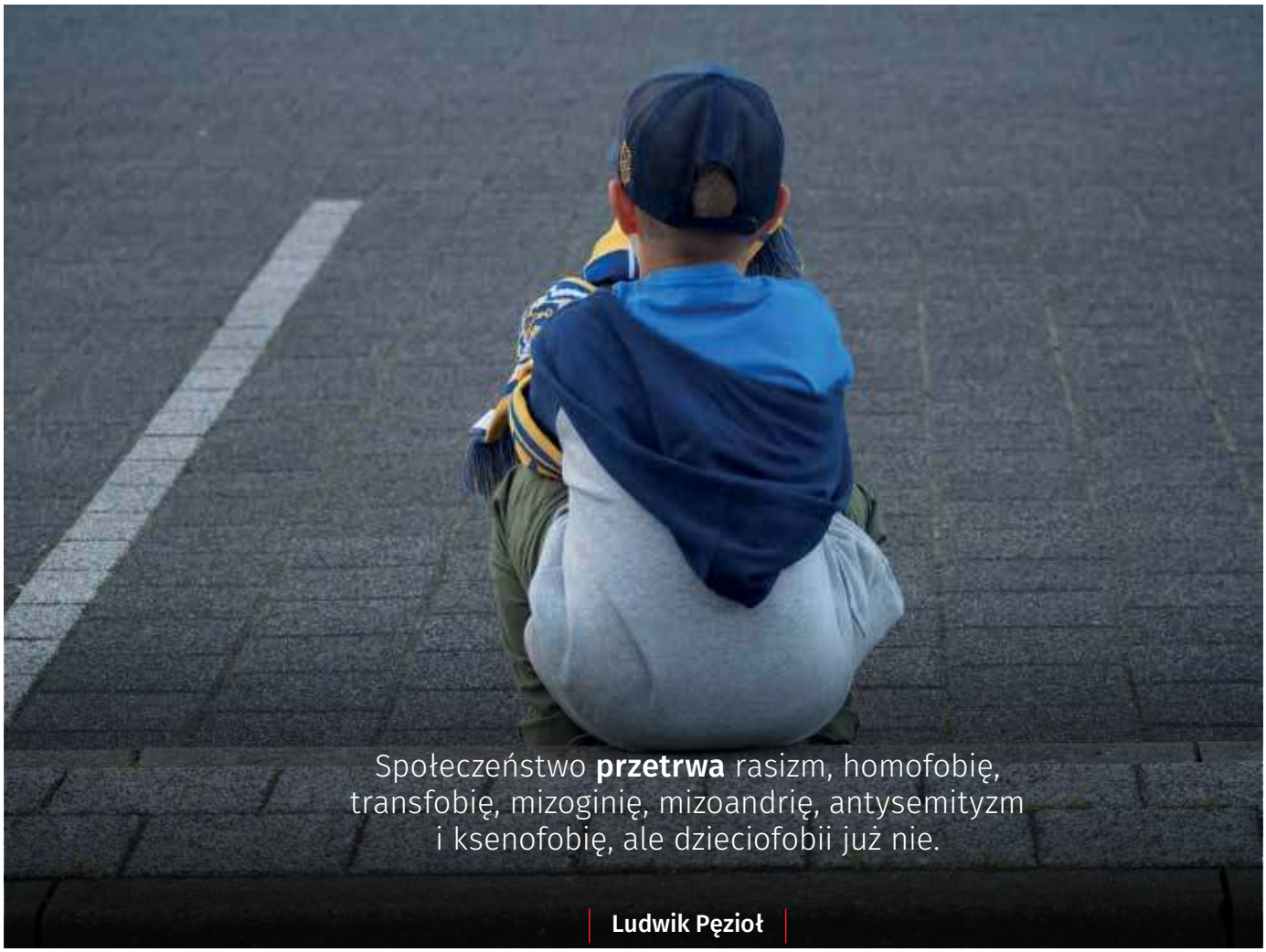

Społeczeństwo **przetrwa** rasizm, homofobię, transfobię, mizoginię, mizoandrię, antysemityzm i ksenofobię, ale dzieciofobii już nie.

Fot. Adobe Stock

Ludwik Pęzioł

Dzieci to najbardziej dyskryminowana mniejszość w systemie liberalnym. Podobnie jak w dawnych Stanach Zjednoczonych normą były lokale, do których wstępu nie mieli kolorowi, bo przecież nie po to porządny, biały Jankes płacił za whisky w barze, żeby musieć gapić się na „czarne, głośne małpy", tak dziś amator nitro cold brew z rzemieślniczym mlekiem z nerkowców i nutą dymu z palo santo nie po to płaci za nie 40 złotych, żeby słuchać rozwydrzonych „kaszojadów".

Ale to oczywiście tylko czubek góry lodowej. Dzieciofobia, poza wykluczaniem dzieci z miejsc publicznych – już nie tyle ze względu na ich bezpieczeństwo czy prawidłowy rozwój, ile właśnie w imię świętego komfortu klienteli – rozprzestrzenia się właściwie na każdą sferę życia społecznego. A końcowym efektem tego procesu jest masowa eksterminacja najmłodszych.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

Zanim jednak stwierdzą Państwo, że przesadzam, proszę doczytać do końca.

Dziecko kontra liberalizm

Dziecko jest systemowi liberalnemu w dużej mierze nie na rękę. Co prawda generuje pewien rynek sprzedaży i usług, ale przynosi też zgryzoty: problemy dla pracodawców, różne „nieznośne" przepisy ochronne dla młodych matek, dodatkowe świadczenia socjalne etc. To wszystko można byłoby jeszcze jakoś przeżyć. Gorzej, że samo istnienie dziecka godzi w najważniejszy fundament liberalizmu, czyli po libkowemu rozumianą „wolność".

Dziecko ma bowiem irytującą tendencję do jej odbierania – i to właściwie całemu swojemu otoczeniu. W świecie kontraktualnym, w którym na każdą rezygnację z własnej wolności trzeba się uprzednio umówić, dziecko nie czeka na niczyją zgodę. Domaga się poświęcenia, nie ogląda się na to, czy ktoś pozwoli mu zakłócać swój spokój, i ogranicza niezliczone możliwości wesołej konsumpcji.

Innymi słowy: dziecko dokonuje zamachów na liberalną wolność na bardzo wielu frontach. Nie pyta, czy rodzic ma dziś ochotę spać do południa. Nie pyta, czy może przez godzinę wrzeszczeć. Nie pyta, czy jego obecność będzie komuś przeszkadzała. Nie pyta nawet, czy rodzic ma ochotę być rodzicem. Dziecko jest pod tym względem żywym zaprzeczeniem liberalnego ideału. Nic więc dziwnego, że staje się niepisanym wrogiem systemu.

Co więcej, nawet zawodowi tropiciele wykluczenia społecznego – w tej roli występujący jako lewaccy sojusznicy liberałów – mimo że dzieciofobia jest widoczna na każdym kroku, jakoś jej nie zauważają. A właściwie zauważają ją tylko wtedy, gdy mogą dołączyć do nagonki na najmłodszych. Dzieci są przecież „emitentami gazów", przyszłymi użytkownikami samochodów, producentami śmieci i wszystkimi innymi strasznymi upiorami, które zagrażają klimatowi.

Stąd właśnie bierze się przyzwolenie na dyskryminację, która stroi się w szatki racjonalnych wyjaśnień. I podobnie jak wspomniany już czarnoskóry, nie miał wstępu do lokali, co przecież nie miało mu szkodzić, bo istniały specjalne knajpy dla „kolorowych", gdzie przecież „lepiej czuli się w swoim towarzystwie", tak i dziś słyszymy, że powinna istnieć szeroka oferta lokali: dla tych, którzy chcą przychodzić z dziećmi, i dla tych, którzy nie chcą ich oglądać.

SAMO ISTNIENIE DZIECKA GODZI W NAJWAŻNIEJSZY FUNDAMENT LIBERALIZMU, CZYLI PO LIBKOWEMU ROZUMIANĄ „WOLNOŚĆ".

Oczywiście podobne rynkowe wyjaśnienie nie obowiązuje w przypadku innych mniejszości – homoseksualistów, uchodźców etc. Choć przecież komuś również mogliby „przeszkadzać". Jeżeli tak się dzieje – na przykład klientowi przeszkadza homoseksualna ekspresja czy odmienne kulturowo zachowania innych klientów – świadczy to o jego uprzedzeniach, zinternalizowanym faszyzmie i Bóg wie czym jeszcze. Kiedy jednak przeszkadza mu „kaszojad", o żadnej zinternalizowanej dzieciofobii oczywiście nie ma mowy. Powód jest prosty: ci pierwsi wrogami systemu nie są. Ci drudzy – owszem.

Rachunek za społeczeństwo

Skoro już jesteśmy przy „kaszojadzie", warto zwrócić uwagę na podwójne standardy dotyczące języka. Te same osoby, które przypominają, że „Auschwitz zaczęło się od złego słowa", bez większego problemu posługują się wobec dzieci słownictwem żywcem wyjętym wprost z „Der Stürmera", z „pasożytami" na czele. Tutaj problemu oczywiście nie ma, bo przecież „to nie to samo".

Co więcej, takie określenia mają wręcz uchodzić za przejaw emancypacji od konserwatywnych norm, które z posiadaniem dzieci były tradycyjnie związane. Jeśli więc chcesz zostać uznany przez postępaków za „swojaka", wystarczy, że odpowiednio obelżywie nazwiesz dziecko. Najlepiej w stylu hitlerowskiej gadzinówki.

Oczywiście istnieją też rzeczywiste problemy, które pojawiają się w kontaktach z dziećmi. Ot, choćby krzyk – zaprogramowany przez naturę w taki sposób, żeby nie można było wobec niego pozostać obojętnym. Trudno jednak nie zauważyć, że jeszcze niedawno był on traktowany jako swego rodzaju element społecznego kolorytu. Dziecko krzyczało, dorosły to znosił, życie toczyło się dalej.

Dziś krzyk dziecka jest czymś absolutnie „nie do zniesienia". Przyzwyczajony do swoich świętych wolności dumny wielkomieszczanin zwyczajnie czuje się opresjonowany. Jak to możliwe, że ktoś śmie wbrew jego woli zakłócać mu spokój? Przecież on się na to nie pisał. Wściekłość na samo naruszenie „świętej wolności", którą liberalizm mu wmówił, sprawia, że zdarzający się od czasu do czasu krzyk – kiedyś rzecz zwyczajna – urasta do rangi niedopuszczalnej przemocy.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

Jest jeszcze jeden powód. Kiedyś było oczywiste, że obecność dzieci w przestrzeni publicznej – ze wszystkimi jej plusami i minusami – jest po prostu jednym z kosztów funkcjonowania w społeczeństwie. Nie można mieć społeczeństwa bez dzieci. Nie można mieć bez nich ciągłości pokoleń. Nie można mieć przyszłości bez ludzi, którzy dopiero się urodzą. A skoro tak, to trzeba zaakceptować również pewien poziom niedogodności, który ich obecność ze sobą niesie. Tak jak akceptujemy, że społeczeństwo składa się z ludzi, którzy czasem są głośni, chorzy, starzy, niepełnosprawni, biedni, kłopotliwi albo po prostu irytujący.

No chyba że wprost przyznajemy, że przetrwanie społeczeństwa, wspólnoty, narodu – czegokolwiek, z czym się utożsamiamy – w ogóle nas nie interesuje. Że interesuje nas wyłącznie własny komfort tu i teraz, a „po nas choćby potop".

Witamy w liberalnym królestwie egoizmu.

System eksterminacji

To wszystko to haniebne syndromy wykluczenia, ale jednak tylko naskórkowe. Prawdziwy problem zaczyna się wtedy, gdy system przestaje swoich ideologicznych wrogów jedynie stygmatyzować, a zaczyna ich po prostu eliminować.

A liberalizm właśnie to robi – postępując przy tym według mechanizmu, który doskonale znamy z historii nazizmu, komunizmu czy kolonializmu. Gdy daną grupę uznawano za niewygodną dla systemu, zanim można było ją zniewolić, wypędzić albo zabić, trzeba było najpierw odebrać jej status człowieka. Tak robiono z Żydami, czarnoskórymi, „burżujami" i innymi grupami, które ideologia uznawała za przeszkodę w urządzeniu świata po swojemu.

Dziś podobny mechanizm stosuje liberalizm wobec dzieci w prenatalnym okresie rozwoju. Oczywiście chodzi o te „niechciane" – a więc te, które pojawiają się w momencie, gdy rodzice nie wyrazili kontraktualnej zgody na poniesienie ograniczeń własnej wolności. „Chciane" dziecko jest bowiem przez liberalne media człowiekiem od samego poczęcia: „Nasz maluch ma już pięć tygodni!" – trąbią szczęśliwi liberalni rodzice. To samo dziecko, gdy tylko staje się niechciane, magicznie zmienia się jednak w „płód", „zlepek komórek" albo „coś, czego organizm matki i tak się od czasu do czasu samoistnie pozbywa".

DZIECIOFOBII NIE DA SIĘ POWSTRZYMAĆ BEZ RADYKALNEJ ZMIANY LIBERALNEGO SYSTEMU WARTOŚCI I PRZEKONAŃ.

Język nie jest tu przypadkowy. Jeśli chce się człowieka wyeliminować bez moralnego dyskomfortu, najpierw trzeba przestać nazywać go człowiekiem. Proszę zresztą zwrócić uwagę na to, jak grupa zwolenników zabijania niechcianych dzieci sama siebie określa: „pro-choice" – czyli „za wyborem". Jest to wręcz podręcznikowe odwołanie do liberalnego systemu wartości: najważniejsza jest wolność jednostki, a wszystko, co staje na jej drodze, staje się problemem do usunięcia. Do gazu albo do odkurzaczyka.

Oczywiście nie można pominąć lewackich pomagierów, którzy dehumanizują dzieci w prenatalnym okresie rozwoju z nieco innego powodu: w imię „równości". Jest im to potrzebne do wyrównania asymetrii kosztów reprodukcyjnych między kobietą a mężczyzną. Tak czy owak mechanizm pozostaje ten sam. Najpierw trzeba odebrać grupie podmiotowość, potem stworzyć wokół niej odpowiedni język, następnie przekonać ludzi, że jej obecność jest problemem, a na końcu – że pozbycie się go jest czymś rozsądnym, higienicznym, postępowym albo wręcz moralnym. Nie trzeba chyba dodawać, że wszystkie opisane wcześniej mechanizmy dyskryminacji, stygmatyzacji i wytwarzania złych skojarzeń z dziećmi znakomicie ten proces wspierają.

Co robić?

Dzieciofobii nie da się powstrzymać bez radykalnej zmiany liberalnego systemu wartości i przekonań, na których został ufundowany. Dopóki najwyższą wartością pozostają jednostkowy komfort, nieograniczona autonomia i prawo do urządzenia sobie życia dokładnie według własnego widzimisię, dopóty dziecko – ze swoją zależnością, potrzebami i prawem do uwagi innych – będzie stanowiło dla tego systemu problem.

Nie da się tego zrobić również wtedy, gdy prawo dziecka do życia koliduje z interesami – z jednej strony wielkiego kapitału, dla którego reprodukcja jest przede wszystkim elementem kalkulacji ekonomicznej, a z drugiej – zainfekowanych liberalną ideą wolności wywrotowych fanatyków równości dla wszystkich poza tymi najsłabszymi.

Na razie pozostaje więc prodziecięca partyzantka. Jej zadaniem jest odpieranie kolejnych ataków, punktowanie hipokryzji, rozbijanie języka, którym dzieci się odczłowiecza, i – przede wszystkim – niedopuszczanie do tego, by ich obecność w społeczeństwie zaczęła być traktowana jak problem wymagający rozwiązania. Trzeba powstrzymywać proces zohydzania dzieci tak długo, jak długo będzie to konieczne, czyli do upadku liberalnego królestwa egoizmu.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

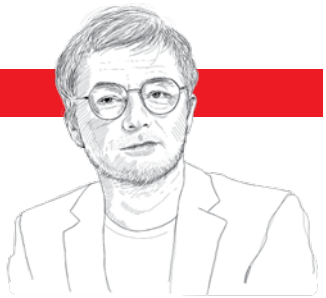

Wielka przeszłość, ale jaka przyszłość?

Jan Wróbel

Nauczyciel, zwracając się do kandydata do pierwszej klasy, zapytał gniewnie:

– Ile ty, dryblasie, masz lat? Przecież jesteś większy ode mnie!

No tak, przyszły uczeń miał już lat 10 (chociaż, naginając prawdę, powiedział, że nieskończone). Nauczyciel zaprowadził dziecko do klasy i wskazał mu pierwszą ławkę. W niej ma od jutra siedzieć „dryblas". Nie było to wyróżnienie dla prymusa, lecz swego rodzaju stygmatyzacja. Nauczycielom polecono, aby dopilnowywali chłopca. Prawdopodobnie dyrektor wiejskiej szkółki uznał, że ktoś, kto zaczyna szkołę w wieku lat 10, jest być może opóźniony umysłowo albo, co gorsza, leniwy.

Historia ta przydarzyła się naprawdę, pod koniec XIX wieku – i to Wincentemu Witosowi. Znamy ją z jego własnych wspomnień. Nie ma specjalnie powodu, aby nie dowierzać, bo nie stawia ona w jakiś szczególnie dobrym świetle jego samego, ani – uwaga – jego mamy. O niej Witos wyrażał się zawsze z szacunkiem, z wyjątkiem sprawy szkolnej. Mama uważała bowiem, że szkoła jest dobra dla chłopca, ale w zimie, kiedy nie ma pracy w polu. Ze łzami w oczach targowała się z nauczycielem, aby Wincenty poszedł do szkoły na papierze od jutra, ale w rzeczywistości dopiero wtedy, gdy spadnie pierwszy śnieg: „Mama narobiła gwałtu, tłumacząc, że ona mnie tylko przyszła zapisać, ale nie może mnie jeszcze do szkoły posłać, bo nie mam ani elementarza, ani tabliczki, ani rysika. A przy tym muszę zostać w domu dla pasienia krowy i pomagania przy kopaniu ziemniaków". Dla jasności: rodzice Witosa uznawali szkołę za pożyteczną. Bali się jednak głodu – stałego towarzysza biednych rodzin wiejskich w Galicji.

Z innych źródeł wiemy, że lud galicyjski szanował cesarza Austrii, a o „Polakach" mówił z lękiem. „Polacy" to byli dawni szlachcice, radzi przywrócić pańszczyznę i lud skazać na niewolę.

Jest wiele czynników, dzięki którym wieś polska odmieniła się tak intelektualnie, jak i narodowo w następnym stuleciu. Fundamentalnym czynnikiem była szkoła. Obowiązkowa, zazwyczaj oparta na dyscyplinie i wkuwaniu, nie na samodzielności i rozwoju. Jakub Bojko, nauczyciel ludowy, z dumą wspominał, że zastraszał uczniów kijem. Na ogół – żadne to cudo ta dawna szkoła. A jednak, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, miała potencjał. Pchała w górę ambicje i rozszerzała horyzonty swoich uczniów. Była narzędziem emancypacji milionów. Ten proces mamy już za sobą.

Dzisiaj szkole stawia się nieporównywalnie większe zadania niż szkole z czasów Witosa. Kształtowanie umiejętności, gimnastyka umysłu, postawy społeczne, walka z komórkami i jeszcze czytanie ze zrozumieniem – najgorsze. Czy szkoła w ogóle może te zadania udźwignąć? To raczej projekcje kolejnych władz.

DAWNA SZKOŁA? NA OGÓŁ TO ŻADNE CUDO. A JEDNAK, JAKBYŚMY DZISIAJ POWIEDZIELI, MIAŁA POTENCJAŁ.

Notabene, Witos ukończył tylko szkołę dwuklasową, resztę swojej (ogromnej) wiedzy zawdzięczał samodzielnym lekturom. Umysłom nieprzeciętnym wystarczy tylko dać wędkę i pokazać podstawy, resztę zrobią sami.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

KULTURA



NIE CHCĘ SPRZEDAWAĆ swojej prywatności

– Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby kiedyś być po części influencerką. Jeżeli tak się stanie, to jednak będzie to na moich zasadach. Mam mocno oddzielone to, co chcę pokazywać w mediach społecznościowych, od tego, czego pokazywać nie chcę. W większości jest to więc przemyślana i świadoma decyzja – mówi **Aleksandra Prochownik**, aktorka, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

Fot. arch. A. Prochownik

eprasa.pl 2b3a1a02cd

– Kim jesteś?
– Kim jestem? Chyba jestem człowiekiem dosyć wrażliwym, czasami może nawet za bardzo. Fascynuje mnie ludzka psychika i emocjonalność. Uwielbiam obcować z ludźmi, poznawać zarówno siebie, jak i innych. Lubię odkrywać różne schematy, według których funkcjonujemy. Lubię się uczyć.

– Skoro lubisz poznawać ludzi, ich emocje i sposób funkcjonowania, to wyłania mi się obraz psychoterapeutki, psychiatry lub psychologa. A tymczasem poszłaś w aktorstwo!
– Tak.

– Można powiedzieć, że łączysz jedno z drugim?
– Myślę, że jedno i drugie ma ze sobą dużo wspólnego. Oczywiście nie jestem ani psychologiem, ani psychoterapeutą.

– Ale tak brzmisz. Uważam, że zawody takie jak Twój czy mój mają w sobie zalążek psychologii. Ty tworzysz emocje i przekazujesz je ludziom, a ja staram się je przedstawiać poprzez rozmowę z Tobą, czyli aktorką, która zawodowo zajmuje się przekazywaniem emocji.
– Absolutnie. Jest w tym jakiś punkt styczny.

– Zawsze marzyłaś, żeby być aktorką, czy ta decyzja pojawiła się dopiero w okresie dojrzewania?
– Nie mogę powiedzieć, że tak było zawsze. Na pewno od dziecka miałam jakieś przebłyski, ale tak naprawdę decyzję podjęłam dopiero pod koniec liceum. To dosyć późno, patrząc na większość moich znajomych aktorek i aktorów. Może więc zawsze było to we mnie bardziej podświadome.

– Zanim przejdziemy do Twojego projektu, który niedawno zamknął pierwszy sezon, chciałbym zapytać o coś innego. Patrzę na Ciebie i widzę pozytywną dziewczynę, która potrafi chwytać szczęście, okazje czy to, co daje jej los. Ale jaka jest obecnie największa trudność dla młodej aktorki? Rozmawiam z młodymi ludźmi z branży i każdy odpowiada na to pytanie zupełnie inaczej. Co jest dla Ciebie trudnością, którą musisz przezwyciężać z dnia na dzień?
– Myślę, że tych trudności jest kilka. Często są to po prostu okoliczności tego zawodu i zdobywania pracy. Sam proces castingowy nie jest łatwy. Trudne jest też radzenie sobie z odmowami, z przegranymi castingami albo z castingami, które przegrywasz niemal na mecie. Chodzi o to, żeby takie sytuacje nie definiowały mnie jako człowieka czy jako aktorki. Mam wrażenie, że wielu z nas wpada w taką pułapkę. Jeżeli przegrasz casting, zaczynasz myśleć: „Kurde, jestem słaba, coś jest ze mną nie tak”. I nagle kwestionujesz siebie nie tylko jako aktorkę, ale również jako człowieka.

– Czyli mówisz o tej ciągłej walce o miejsce, o rolę?
– Tak, ale też o tym, co dzieje się w głowie po przegranym castingu. Możesz zacząć myśleć, że skoro ktoś cię nie wybrał, to znaczy, że jesteś gorsza. A przecież tak nie musi być.

FASCYNUJE MNIE LUDZKA PSYCHIKA I EMOCJONALNOŚĆ. UWIELBIAM OBCOWAĆ Z LUDŹMI, POZNAWAĆ ZARÓWNO SIEBIE, JAK I INNYCH.

– Odmowa może później motywować?
– Przewrotnie zdarzyło mi się, że tak. Miałam taki okres, kiedy w dosyć krótkim czasie miałam bardzo dużą liczbę castingów i większość z nich przegrywałam na mecie. Z jednej strony to była masakra.

– Duże role?
– Duże role, duże produkcje.

– I co wtedy dostaje aktorka? Jaki komunikat? Jaką informację? Co mówi się Aleksandrze Prochownik, jeżeli w ogóle coś się mówi?
– I to jest kolejny problem, który wraca do jednego z Twoich poprzednich pytań. To jest ogromna trudność. Można nazwać to ghostingiem, ale przede wszystkim brakuje feedbacku. Brakuje informacji zwrotnej.

– Witam w klubie.
– Z drugiej strony sama zrozumiałam, dlaczego udzielenie takiej informacji nie zawsze jest łatwe. Kiedy po raz pierwszy stanęłam po drugiej stronie i zaczęłam pełnić inne funkcje przy projekcie, zobaczyłam, ile emocji wiąże się z przekazaniem komuś negatywnego komunikatu. Zastanawiasz się: „A może kogoś tym zamknę? A może pomogę? A może zaszkodzę?”. Nie jest więc łatwo dać komuś negatywny feedback.

– Jesteś obecnie zadowolona z miejsca, w którym jesteś?
– Zawodowo?

eprasa.pl 2b3a1a02cd

– Tak. Jest taka łamigłówka, którą czasami wykorzystuje się podczas szkoleń. Gdybyś miała ocenić swój obecny etap drogi zawodowej w skali od jednego do dziesięciu, jaka byłaby to cyfra?
– A ja chciałabym najpierw powiedzieć, dlaczego tak jest.

– Możesz. Załóżmy jednak, że powiedziałabyś: „Osiem". Wtedy zapytałbym: „Dlaczego nie dziesięć?".
– W zależności od momentu wyceniłabym to między cztery a sześć.

– Ojej, dlaczego tak mało?
– Bo momentami mam bardzo dużo przestojów w pracy. Czasami budzi to moją frustrację. Czasami zaczynam nawet kwestionować swoją drogę zawodową. Nie ukrywajmy też, że nie zagrałam jeszcze jakiejś superdużej roli, z której byłabym naprawdę bardzo zadowolona.

– Ale pamiętaj, że w tym zawodzie wszystko jest długofalowe. Dlatego ja nigdy nie mógłbym być aktorem. Nie umiem i nie lubię czekać.
– Ja też mam z tym problem.

– Media społecznościowe pomagają w zdobywaniu ról? Czy są dziś takim suplementem do pracy aktora?
– To jest trochę temat tabu.

– Dlaczego tabu? Przecież dobrze ogląda się to, co robisz w mediach społecznościowych.
– Chodzi mi bardziej o to, jak to funkcjonuje. Nigdy nie dostałam wprost komunikatu: „Dostaniesz rolę, bo obserwuje Cię tyle osób".

– Ale Twoi koledzy i koleżanki z branży o tym mówią. Mówią, że nie dostają ról, ponieważ nie mają wystarczającej liczby obserwujących.
– Tak. I ja też wielokrotnie tego doświadczyłam. Łącznie z tym, że nawet moja liczba obserwujących na TikToku okazała się za mała. Nigdy nie usłyszałam tego jednak wprost.

– Wielu filmowców daje się też nabierać na samo zapraszanie influencerów na plan, choć nie zawsze przekłada się to na rzeczywistą frekwencję. Taka jest prawda.

PO PRZEGRANYM CASTINGU MOŻESZ ZACZĄĆ MYŚLEĆ, ŻE SKORO KTOŚ CIĘ NIE WYBRAŁ, TO ZNACZY, ŻE JESTEŚ GORSZA. A PRZECIEŻ TAK NIE MUSI BYĆ.

– Zgodzę się z tym.

– Zauważyłem, że wiele aktorek, również starszych od Ciebie, z czasem przechodzi z aktorstwa w stronę influencerstwa. Dziś bywają bardziej influencerkami niż aktorkami. Coraz częściej angażuje się do serialu czy filmu influencerkę, która kiedyś była aktorką.
– Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby kiedyś być po części influencerką. Jeżeli tak się stanie, to jednak będzie to na moich zasadach. Mam mocno oddzielone to, co chcę pokazywać w mediach społecznościowych, od tego, czego pokazywać nie chcę. W większości jest to więc przemyślana i świadoma decyzja.

– A może powinnaś szkolić influencerów, którzy mają ogromne parcie na szkło? Masz przecież odpowiednie wykształcenie.
– Jestem po szkole teatralnej.

– We Wrocławiu?
– Tak.

– To może właśnie powinnaś iść w tę stronę? Możesz uczyć influencerów, którzy chcą wejść do świata aktorskiego i mają ogromne parcie na szkło. Być może oni będą dla aktorów większą konkurencją niż koledzy po fachu.
– Na taki pomysł nie wpadłam. Przemyślę to sobie. „Nie potwierdzam, nie zaprzeczam".

– Przejdźmy teraz do tego, dlaczego właściwie się spotkaliśmy. Stworzyłaś niedawno serial internetowy „Wake Up".
– Pomysł miałam w zasadzie od kilku lat. Wstrzymywały mnie przede wszystkim pieniądze. Zastanawiałam się, jak to zrobić, jak zorganizować finansowanie i w ogóle jak doprowadzić do tego, żeby projekt mógł powstać.

– W takim razie podkręćmy: zainwestowałaś swoje pieniądze.
– Tak.

– I jesteś zadowolona z rezultatu?
– I tak, i nie.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

– Dlaczego tak, a dlaczego nie?

– Myślałam, że wszystko bardziej organicznie pójdzie. To jest pierwsza rzecz. Zdaję sobie jednak sprawę, że to jest dobre. Na pewno mogłoby być lepsze, ale nie wiem, czy w świecie artystycznym człowiek kiedykolwiek dochodzi do momentu, w którym wypuszcza coś twórczego i mówi: „Boże, to jest idealne, lepiej być nie może". Pewnie są tacy ludzie. Zazdroszczę im. Ja na razie tak nie mam. Ogólnie jednak bardzo się cieszę, że ten projekt udało się zrobić. Czasami sama się zastanawiam, jak to w ogóle się stało, że się udało.

– A co się nie udało?

– Myślałam, że...

– ...że projekt dotrze do większej liczby osób organicznie?

– Dokładnie.

– Ile osób przy nim pracowało?

– Prawie czterdzieści.

– To już naprawdę duże przedsięwzięcie. A wracając do mediów społecznościowych: jesteś zaskoczona tym, jak projekt radzi sobie na TikToku?

– Jestem przede wszystkim zszokowana TikTokiem. Sama organicznie wykręciłam kilka virali na milion czy półtora miliona wyświetleń.

– Właśnie dlatego dotarłaś do mnie, zanim się poznaliśmy. Algorytm mi Ciebie podpowiedział.

– Tak. I teraz wszyscy mówią, że algorytm się zmienia. Mam jednak wrażenie, że teraz to poszło w drugą stronę. Jakby coś się zepsuło.

– Serial nosi tytuł „Wake Up" – czy ten serial był dla Ciebie rzeczywiście takim przebudzeniem, jeśli chodzi o życie artystyczne? Czy był to początek nowego rozdziału, bo włożyłaś w niego mnóstwo czasu, energii i pracy, czy po prostu kolejny projekt, tylko tym razem znacznie bardziej się w niego zaangażowałaś?

– Fajnie to ująłeś, bo sama o tym w ten sposób nie pomyślałam. Ale kiedy tak o tym mówisz, chyba rzeczywiście coś w tym jest. Na pewno jest to dla mnie zupełnie inny projekt niż wszystkie pozostałe. „Wake Up" to zupełnie inny poziom kreowania i mojej drogi twórczej. Świetnie się w tym odnalazłam, mimo że mnóstwo rzeczy robiłam po raz pierwszy i naprawdę rzuciłam się na głęboką wodę. To było dla mnie rewelacyjne doświadczenie. Po prostu uwielbiam kreować.

– Będzie drugi sezon?

– Jest na to szansa. Na razie jednak nie ma decyzji i nic nie jest postanowione. Przede wszystkim oglądajcie.

> MOMENTAMI MAM BARDZO DUŻO PRZESTOJÓW W PRACY. CZASAMI BUDZI TO MOJĄ FRUSTRACJĘ. ZACZYNAM NAWET KWESTIONOWAĆ SWOJĄ DROGĘ ZAWODOWĄ.

REBUS | **MICHALSKI**



eprasa.pl 2b3a1a02cd

MIX PŁYT Bartosz Boruciak

ARIANA GRANDE – PETAL
WYD. REPUBLIC RECORDS



Ariana Grande na „petal" świadomie odchodzi od błyszczącego popu na rzecz bardziej intymnego, mroczniejszego, brzmienia, w którym emocje są ważniejsze od radiowych hitów. Album opiera się na subtelnych aranżacjach R&B, elektronicznych teksturach i charakterystycznym, delikatnym wokalu artystki. Teksty koncentrują się na samoakceptacji, rozliczeniu z przeszłością, presji sławy i odzyskiwaniu kontroli nad własnym życiem, dzięki czemu płyta sprawia wrażenie najbardziej osobistego wydawnictwa w jej dorobku. Ariana Grande wciąż potrafi zaskakiwać.

BIBIZA – ROCKNROLLST★R
WYD. SONY MUSIC



BIBIZA nie zwalnia tempa i na „Rocknrollst★r" serwuje materiał pełen pewności siebie, ironii oraz bezkompromisowej energii. Austriacki artysta swobodnie miesza rap, elektronikę, alternatywny pop i rockowe inspiracje, tworząc album, który trudno zamknąć w jednej stylistycznej szufladzie. To płyta pełna kontrastów – z jednej strony przebojowa i imprezowa, z drugiej świadomie igrająca z wizerunkiem współczesnej gwiazdy oraz kulturą mediów społecznościowych. Produkcja imponuje nowoczesnym brzmieniem i dbałością o detale, a chwytliwe refreny długo pozostają w pamięci. „Rocknrollst★r" nie jest próbą przypodobania się wszystkim słuchaczom, lecz konsekwentnym rozwijaniem własnego stylu.

R3HAB – DREAM INSIDE A DREAM...
WYD. UNIVERSAL



Na trzecim albumie studyjnym R3HAB pokazuje zupełnie inne oblicze. To najbardziej osobisty materiał w jego dorobku. Elektroniczne brzmienia nie tracą tanecznego charakteru, ale tym razem są nośnikiem emocji, a nie jedynie klubowej energii. Gościnne występy Izzy Bizu, RHODES i Orem wzbogacają całość, a inspiracje marokańskimi motywami dodają albumowi indywidualnego charakteru. To spójna, dopracowana produkcja, która udowadnia, że muzyka EDM może być jednocześnie widowiskowa i introspektywna.

MICHIGANDER – OVER BEFORE YOU KNOW IT
WYD. THIRTY TIGERS



Na „Over Before You Know It" Jason Singer, ukrywający się pod szyldem Michigander, pozostaje wierny indierockowej wrażliwości. Album opiera się na melodyjnych gitarach, przestrzennych aranżacjach i szczerych tekstach, które opowiadają o przemijaniu, relacjach oraz próbie odnalezienia równowagi w szybko zmieniającej się rzeczywistości. Nie ma tu miejsca na zbędny patos – emocje wybrzmiewają naturalnie, a każda kompozycja rozwija główny motyw płyty. Produkcja zachowuje charakterystyczną dla Michigandera lekkość, jednocześnie oferując bogatsze instrumentarium i większą różnorodność niż wcześniejsze wydawnictwa.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

KARUZELA BLOGERAMI

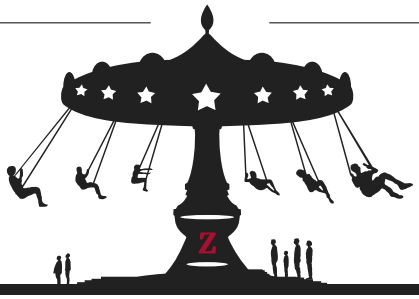

GRZEGORZ „GRZECHG" GOŁĘBIEWSKI

CZY TUSK SIĘ „SYPIE"?

ŻYCZĄC KAŻDEMU DOBREGO ZDROWIA I SAMOPOCZUCIA oraz pociechy z dzieci i wnuków, warto jednak na niespełna rok przed wyborami zadać sobie pytanie, czy Donald Tusk się sypie? Oczywiście nie chodzi o jego zdrowie, siły witalne czy wrodzone zło polityczne, ale o to, czy on się po prostu sypie mentalnie, psychicznie, jednym słowem – politycznie. Bo choć jego sprawczość w partii i grudniowej koalicji wydaje się być nadal niezachwiana, to jednocześnie spada na niego od wewnątrz fala krytyki: że się cacka z opozycją, że nie słucha młodych (tych od słynnej „dziesiątki" na wybory), że toleruje Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz, że ma wreszcie marną rękę do kadr, by wspomnieć tylko osławioną profesor Barbarę Mróz-Gorgoń. To wszystko tylko dlatego wygląda jeszcze nienajgorzej, ponieważ po drugiej stronie mocy panuje właśnie polityczna niemoc.

Zarówno Prawo i Sprawiedliwość, jak i Rozwój + nie mają jak dotychczas chwytliwej opowieści na swój temat, która zaczęłaby znowu przyciągać nowych wyborców. A są oni niezbędni do pokonania koalicji zła. Tak właśnie trzeba nazywać po imieniu to, co urządziła Polsce ekipa Tuska. Najzabawniejsze po stronie obozu władzy są zakusy, by słabnącego premiera może kimś zastąpić. Podobno do tej roli aspiruje (albo i nie) Radosław Sikorski, który na co dzień żyje w totalnym rozdwojeniu: albo mądrzy się w amerykańskiej stacji, albo hejtuje jak pospolity buc w internecie. Strach pomyśleć, jak wyglądałyby rządy koalicji Sikorskiego, takie trochę „neokonserwatywne", czyli trele-morele zrobione pod wybory. Jeszcze komiczniej rysuje się wymiana premiera Tuska na Magdalenę Sobkowiak-Czarnecką. Jeśli to jest plan wspierany z wiadomych względów przez Berlin, to znaczy, że i w tym mieście upadli już na głowę. Ale być może jest to wynik tego, że cała polityka robi się nijaka i „plastikowa", bez wyrazistych postaci, nie mówiąc już o charyzmatycznych liderach.

Zresztą ten problem ma także potencjalnie polska prawica. Nie ma na razie – i zapewne jeszcze długo nie będzie – kogoś, kto mógłby przejąć polityczne stery od Jarosława Kaczyńskiego. Są aspirujący do tego celu, ale nawet jeśli im się wydaje, że „scena przed nimi stoi otworem", jak mówiła pewna zacna dama, to w żadnym razie nie ma dziś nikogo o takim formacie politycznym jak Jarosław Kaczyński. I dotyczy to całej prawicy, a nie tylko samego PiS-u. Niestety, dominuje dziś pokolenie polityków ulepione przez internet, emocje, puste gesty, hasła, bez jakiegokolwiek intelektualnego dorobku, do tego niezwykle cyniczne. Być może dlatego właśnie Tusk się sypie, bo nie tylko nie wierzy w wyborczy sukces, ale ma też świadomość tego, kim sam się otoczył. Zresztą na własne życzenie dobrał sobie ludzi pokroju Michała Szczerby, Cezarego Tomczyka czy Pauliny Hennig-Kloski. Choć emocje w polityce są dziś niezwykle ważne, to trudno iść po zwycięstwo z intelektualną katastrofą.

Tymczasem walka o głosy Polaków już na dobre rozgorzeje jesienią. Koalicyjne „pistolety" będą szarpać za nogawki, opowiadać bzdury i straszyć brunatną zarazą. Do takiego poziomu dotarła ekipa Tuska. Pytanie, czy to jest jeszcze w ogóle ekipa Tuska, czy raczej szpica tak zwanych silnych razem. ZMP co prawda dziś nie ma, ale tamten rewolucyjny zapał w oczach Kamili Gasiuk-Pihowicz promienieje w pełnej krasie. Jak łatwo zauważyć i porównać, ten „wojowniczy" kapitał ma się średnio do czasów Zyty Gilowskiej czy Jana Marii Rokity. A to, że tak jest, w tym przypadku nie jest winą Tuska.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

ZAPROSZENIE

Uroczyste obchody 46 rocznicy powstania

NSZZ Solidarność

PROGRAM OBCHODÓW

Sobota 5 września 2026

X TURNIEJ ZAKŁADÓW PRACY

(OSiR Łowicz ul. Jana Pawła II 3)

9^{30} - Otwarcie obchodów
9^{45} - Przemarsz pod pomnik NSZZ „Solidarność" – Skwer Solidarności
10^{00} - Turniej piłki nożnej i siatkowej
11^{00} - Strzał piłką do bramki
12^{00} - Rzut lotką
13^{00} - Rzuty woreczkami
13^{30} - Skok w dal z miejsca
14^{00} - Konkursy dla szefów firm i instytucji
14^{30} - Konkurs-niespodzianka
15^{30} - Rzuty do kosza
16^{00} - Zakończenie turnieju
19^{00} - Gala rozdania nagród - Restauracja „Polonia w Zaciszu" ul. Fabryczna 5

Niedziela 6 września 2026

11^{30} - Spotkanie przy pomniku bł. ks. Jerzego – Kościół Ojców Pijarów
12^{00} - Uroczysta Msza św. – Parafia Katedralna Stary Rynek
13^{15} - Spotkanie przy pomniku św. Jana Pawła II – Parafia Katedralna Stary Rynek

PATRONAT HONOROWY

NSZZ Solidarność
PRZEWODNICZĄCY KOMISJI KRAJOWEJ

powiat łowicki
STAROSTA ŁOWICKI

BURMISTRZ MIASTA ŁOWICZA

PRZEWODNICZĄCY ZARZĄDU REGIONU MAZOWSZE NSZZ „SOLIDARNOŚĆ"

SPONSORZY

LOTTO PARTNER OBCHODÓW

ŁOWICZ

Urbanek

EKO WYNIA OPERATOR

Restauracja Polonia w Zaciszu

Steven

OSiR ŁOWICZ

PATRONAT MEDIALNY

TYGODNIK Solidarność

Radio Victoria fm

tysol.pl

ORGANIZATORZY

Rada Oddziału Łowicz
Komisja Zakładowa
MASPEX FOOD Oddział AGROS Nowa
Komisja Zakładowa
Powiatowa Straż Pożarna Łowicz

NSZZ Solidarność

eprasa.pl 2b3a1a02cd

PRAWO

SMS OD KOMORNIKA.

Prawda czy fałsz?

Ostatnio dostałem SMS o treści: „Kancelaria Komornicza informuje o wszczęciu egzekucji. Sygnatura sprawy [...], prosimy **o pilną spłatę zadłużenia**. Aby uniknąć dalszych konsekwencji, kliknij w link". W wiadomości znajduje się numer sprawy, kwota do zapłaty i rachunek bankowy. Wszystko wygląda bardzo poważnie. Czy rzeczywiście może to być wiadomość od komornika, czy jest to próba oszustwa?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

W praktyce coraz częściej oszuści wykorzystują nazwy i wizerunek instytucji, którym ludzie ufają. Komornik jest do tego idealny, ponieważ informacja o egzekucji może wywołać strach i skłonić odbiorcę do szybkiego działania. Tego rodzaju wiadomości mogą stanowić próbę wyłudzenia. Najważniejsza zasada jest prosta: jeżeli w wiadomości znajduje się link do szybkiej płatności albo żądanie natychmiastowego przelewu, nie należy działać pod wpływem emocji. Nie klikajmy w link i nie podawajmy danych osobowych, danych karty czy danych do logowania do bankowości elektronicznej. Oszuści często wykorzystują właśnie presję czasu, informując, że brak zapłaty w ciągu kilku godzin spowoduje zajęcie konta, samochodu albo wynagrodzenia. Dobrym przykładem jest sytuacja osoby, która otrzymała SMS z informacją o zadłużeniu w wysokości kilkuset złotych. Wiadomość zawierała numer sprawy i nazwę kancelarii komorniczej. Odbiorca, obawiając się zajęcia rachunku bankowego, kliknął w przesłany link i został przekierowany na stronę przypominającą stronę banku. Tam poproszono go o zalogowanie do bankowości elektronicznej. W tym momencie pozornie niewinna wiadomość mogła stać się początkiem znacznie poważniejszego problemu, tj. próby przejęcia danych umożliwiających dostęp do pieniędzy. Jak więc sprawdzić, czy wiadomość jest prawdziwa? Przede wszystkim nie należy korzystać z numeru telefonu ani linku podanego w podejrzanym SMS-ie. Jeżeli wiadomość wskazuje konkretną kancelarię, można samodzielnie znaleźć jej dane kontaktowe i skontaktować się z kancelarią inną drogą. Krajowa Rada Komornicza prowadzi również wykaz komorników sądowych i kancelarii, dzięki któremu można zweryfikować, czy wskazana osoba rzeczywiście wykonuje ten zawód. Warto też pamiętać, że prawdziwe postępowanie egzekucyjne nie zaczyna się od przypadkowego SMS-a z linkiem do płatności. W rzeczywistości o czynnościach egzekucyjnych komornik zawiadamia dłużnika odpowiednią korespondencją, a zawiadomienie o wszczęciu egzekucji zawiera istotne informacje dotyczące między innymi wierzyciela oraz podstawy prowadzenia egzekucji. Nie oznacza to oczywiście, że każda wiadomość elektroniczna związana z komornikiem musi być fałszywa. O jej autentyczności nie powinien jednak decydować sam wygląd SMS-a, lecz możliwość niezależnego potwierdzenia informacji. Podobny mechanizm wykorzystują oszuści podszywający się pod inne instytucje. Jeżeli otrzymamy podejrzaną wiadomość, najlepiej zachować ją jako dowód, nie klikać w zawarte w niej odnośniki i zweryfikować sprawę bezpośrednio w kancelarii. Jeżeli okaże się, że ktoś podszywał się pod komornika i próbował wyłudzić pieniądze lub dane, sprawę należy zgłosić odpowiednim organom. S

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**") lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność", ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **1 WRZEŚNIA** zdarzyło się:

1945 – otwarto Polski Cmentarz Wojenny na Monte Cassino;

1947 – specjalny Komitet Narodów Zjednoczonych ds. Palestyny opublikował raport, w którym zalecił zakończenie brytyjskiego mandatu nad Palestyną i utworzenie dwóch państw: żydowskiego i arabskiego.



Schleswig-Holstein podczas ostrzału Westerplatte

Fot. Wikimedia Commons

Niemcy byli bez litości. 87. ROCZNICA WYBUCHU II WOJNY ŚWIATOWEJ

W piątek, 25 sierpnia, do gdańskiego portu wpłynął niemiecki pancernik Schleswig-Holstein, który od trzech lat był okrętem szkoleniowym. „Dowódca okrętu złożył protokółem przewidziane wizyty prezydentowi Senatu, wysokiemu komisarzowi Ligi Narodów, komisarzowi generalnemu RP oraz prezydentowi rady portu, a również gauleiterowi Forsterowi. Wymienieni następnie rewizytowali dowódcę na pokładzie okrętu” – donosił dzień później wileński dziennik „Słowo”. Rozpoczynał się **ostatni tydzień pokoju**. Ostatnie dni Europy i świata, które miały odejść w zapomnienie.

Sebastian Reńca

eprasa.pl 2b3a1a02cd

Zbliżała się wojna, która bardzo szybko stała się drugą światową. Wojna, która pochłonęła miliony istnień ludzkich; która pokazała, że człowiek potrafi stworzyć fabryki śmierci i świetnie nimi zarządzać; która w czasach bezprawia wyzwoliła w milionach gen mordowania; która spowodowała, że przedwojenne mapy wylądowały na śmietnikach.

Ten konflikt na dziesięciolecia zmienił układ sił w Europie i na świecie, a jego skutki odczuwamy do dzisiaj.

Wojna poza podium

Aż dziw, że Polacy wcale nie stawiają 1 września 1939 r. i wybuchu II wojny światowej na jednym z pierwszych miejsc listy najważniejszych wydarzeń z historii Polski XX i XXI wieku.

Dziesięć lat temu Centrum Badania Opinii Społecznej (CBOS) opublikowało raport zatytułowany „Świadomość historyczna Polaków". Spośród wydarzeń XX i XXI wieku za najbardziej znaczące dla dziejów kraju Polacy najczęściej uznają: odzyskanie niepodległości w 1918 r. (52%), wybór Karola Wojtyły na papieża (43%), a także przystąpienie Polski do Unii Europejskiej (33%). Poza podium znalazł się rok 1989 i „upadek komunizmu w Polsce" (30%) i dopiero na piątym miejscu najazd Niemiec na Polskę 1 września 1939 r.

Na wybuch wojny wskazało 23% osób. To nieco dziwne, skoro wszystkie wymienione wydarzenia, oprócz odzyskania przez Polskę niepodległości w listopadzie 1918 r., były spowodowane wybuchem II wojny światowej.

Karol Wojtyła został papieżem w 1978 r., ponieważ był z dalekiego kraju. Był Polakiem, którego kraj był pozbawiony suwerenności właśnie w 1939 r. i zakończenie wojny nic nie zmieniło. Decyzją mocarstw Polska została oddana w ręce Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich.

W Polsce, przez pół wieku będącej „rajem" komunistycznym, gospodarka coraz bardziej chyliła się ku upadkowi. Kto wie, co by było, gdyby Polska znalazła się naprawdę w obozie państw zwycięskich i już w latach 50. przystąpiła do Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali? Najpewniej nasza gospodarka byłaby tak prężna jak w państwach, które nie znalazły się pod kuratelą Związku Sowieckiego. Gdyby tak się stało, nie byłoby również roku 1989 i częściowo wolnych wyborów, które były preludium do niepodległości i zrzucenia sowieckiego, a następnie rosyjskiego jarzma. Rosyjskiego, ponieważ dopiero w 1993 r. ostatni żołnierze rosyjscy opuścili Rzeczpospolitą. Inna sprawa, że nie opuścili jej ci, których Rosjanie zwą „seksotami". Rosyjski „sekretnyj sotrudnik" to po polsku tajny współpracownik. Tylko Bóg wie, a przy okazji KGB/FSB i GRU, ilu „seksotów", czynnych i uśpionych, Moskwa pozostawiła nad Wisłą. Dlatego jeszcze bardziej dziwi, że datę 17 września, czyli atak Związku Sowieckiego na Polskę, której wojsko wciąż walczyło z armiami III Rzeszy, tylko 5% Polaków uważa za najważniejsze wydarzenie w dziejach dwudziestowiecznej Polski. Przecież to właśnie wtedy utraciliśmy dwa najważniejsze polskie miasta: Lwów i Wilno. Miasta uniwersyteckie, z którymi związanych jest masa Polaków, których życiorysy odcisnęły się na naszej historii. Tamtejsze polskie uniwersytety, Jana Kazimierza we Lwowie i Stefana Batorego w Wilnie, dziś już noszą inne nazwy. I na Litwie, i na Ukrainie ślady polskości są z premedytacją rugowane z tamtych ziem, a jedynym śladem ich przeszłości są polscy mieszkańcy oraz cmentarze, co jakiś czas bezczeszczone przez tamtejszych nacjonalistów.

Wschodnie tereny Rzeczypospolitej doświadczyły trzech okupacji: litewskiej, sowieckiej oraz niemieckiej. O ile ta pierwsza tylko gnoiła Polaków mieszkających na Wileńszczyźnie, to dwie kolejne nie tylko gnębiły naszych rodaków różnych wyznań i narodowości, ale również ich eksterminowały. Ponadto Niemcy korzystali z nienawiści Ukraińców i Litwinów do Polaków. Przedstawiciele tych narodów

WE WRZEŚNIU 1939 R., NAJBARDZIEJ UCIERPIAŁA WARSZAWA, NA KTÓRĄ 25 WRZEŚNIA SPADŁO PONAD 600 TON BOMB. ZGINĘŁO WÓWCZAS KILKA TYSIĘCY WARSZAWIAKÓW (OD 5 DO 10 TYS.). NIGDY WCZEŚNIEJ W HISTORII NIE BYŁO TAK ZMASOWANEGO NALOTU NA JAKIEŚ MIASTO.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

nie tylko brali udział w masowych mordach na Polakach, chociażby w Ponarach i na Wołyniu, ale również wstępowali do SS i byli strażnikami w niemieckich obozach (koncentracyjnych, śmierci oraz pracy) rozsianych po całym terytorium okupowanej Rzeczypospolitej czy też brali udział w licznych pacyfikacjach polskich wsi i miast.

Zero zorganizowanej współpracy

Gdy nasi zaborcy, III Rzesza i Związek Sowiecki po dwóch latach ścisłej współpracy – między innymi gospodarczej i tej związanej z eksterminacją polskiej inteligencji oraz z wymianą informacji pomiędzy Gestapo a NKWD – znaleźli się w 1941 r. w stanie wojny, niemal cała Europa, w mniejszym lub większym stopniu, współpracowała z Hitlerem w jego wojnie ze Stalinem. W siłach prących na wschód zabrakło jedynie jakiejkolwiek zorganizowanej polskiej jednostki wojskowej.

Tak samo nasze państwo nigdy nie współpracowało w zorganizowanej akcji eksterminacji Polaków wyznania mojżeszowego. A taki grzech ciąży m.in. na Francji, Bułgarii, Rumunii czy na Węgrzech.

Dziś podnosi się przypadki pojedynczej współpracy polskich degeneratów wypełniających polecenia i zalecenia nazistowskich okupantów, chociażby w tropieniu ukrywających się Żydów czy ich szantażu. Ale to właśnie w okupowanej Polsce, a nie w którymś z zachodnich państw, groziła kara śmierci za udzielenie pomocy żydowskim rodakom. To właśnie w naszym kraju Państwo Podziemne skazywało na śmierć tych, którzy szantażowali i wydawali Żydów. Inna sprawa, ile tych wyroków zapadło oraz ile ich wykonano. Nieco rąbka tajemnicy uchylił kiedyś Stefan Korboński, w czasie okupacji m.in. szef Kierownictwa Walki Cywilnej oraz Walki Podziemnej, który w swej książce „Polskie Państwo Podziemne" napisał, że wydano takich wyroków... 11! Dla jasności należy dodać, że od lutego 1944 r. można było likwidować szmalcowników bez wyroku i z rozkazu. Korboński wymienia 4 takie przypadki, czyli w sumie napisał o... 15 wyrokach. Według mnie to o wiele za mało, ponieważ każdy, kto zna wspomnienia okupacyjne, zarówno tych, którzy się ukrywali, jak i tych, którzy im pomagali, wie, że w GG roiło się od degeneratów zarabiających „szmalcowaniem" na ludzkiej krzywdzie.

Ktoś powie, że tak nie można mówić i pisać, że wszyscy Polacy walczyli z wrogiem, nawet jeśli tego nie robili, to wspierali podziemie, a w najgorszym wypadku byli obojętni i w żadnym wypadku nie kolaborowali. To nieprawda.

> NIEMCY PRZYCZYNILI SIĘ DO ŚMIERCI 5,219 MLN POLAKÓW, Z KTÓRYCH 21% BYŁO DZIEĆMI PONIŻEJ 10. ROKU ŻYCIA.

Kiedyś zarzucono prof. Tomaszowi Strzemboszowi, że bada działalność okupacyjną tzw. ludzi z marginesu. Historyk odparł wówczas swym adwersarzom, że mówiąc jedynie o ludziach prawych, doszlibyśmy do wniosku, że lata okupacji były najszczęśliwszym okresem dla Polaków, bez napadów, kradzieży, gwałtów, morderstw, denuncjacji itd. Tym samym uznalibyśmy, że Niemcy zrobili to, czego nie potrafiło polskie państwo przed 1939 r., czyli zlikwidowali jakąkolwiek przestępczość.

Po drugie, rację miał Sergiusz Piasecki, który napisał w jednej ze swych powieści: „Przekonamy się po wojnie, jeśli dożyjemy, że w małej historii obecnych czasów będą pisać pompatycznie o solidarności podczas wojny i okupacji wszystkich warstw narodu polskiego. Ale historia jest po to, żeby utrwalać bzdury i grzebać prawdę. Żeby dogadzać dumie narodowej i perfumować gnój i rozpad. Czytałeś już w prasie podziemnej, słyszałeś przez radio o braterstwie i ofiarności. Ale gdzie one są? Owszem są, lecz jakże rzadko".

Kolejną plagą prócz przestępczości było donosicielstwo. Najwredniejszy polski kapuś pracował w czasach okupacji i słał donosy do „Szanownego pana gistapo". „Już w pierwszym roku okupacji prawdziwą klęską stały się anonimy wysyłane do Gestapo przeciwko osobistym wrogom, których tą drogą można się było łatwo pozbyć" – pisał Jan Nowak-Jeziorański w swych wspomnieniach zatytułowanych „Kurier z Warszawy".

„Bądźcie brutalni!"

To nie jest tak, że za terror wobec Polaków odpowiadały jedynie niemieckie formacje policyjne, takie jak SS i Gestapo. Siły lądowe, czyli Wehrmacht, oraz siły powietrzne, czyli Luftwaffe, od pierwszych dni wojny walczyły nie tylko z polskim wojskiem, ale również mordowały polskich cywilów. Już wtedy, we wrześniu 1939 r., najbardziej ucierpiała Warszawa, na którą 25 września spadło ponad 600 ton bomb. Zginęło

eprasa.pl 2b3a1a02cd

wówczas kilka tysięcy Warszawiaków (od 5 do 10 tys.). Nigdy wcześniej w historii nie było tak zmasowanego nalotu na jakieś miasto.

Dzielni niemieccy lotnicy nie tylko zrzucali bomby na pełną cywilów stolicę, ale również na inne miasta w Polsce. Mało tego, atakowali również, czyli ostrzeliwali i bombardowali, pociągi czy drogi zapełnione cywilami. Wspomnienia z tamtego września pełne są opisów nalotów na kolumny ludzi uciekających przed frontem.

Nie inaczej zachowywali się „dzielni" żołnierze Wehrmachtu, pacyfikując polskie wsie czy mordując cywilów, nie tylko na wsiach, ale również w miastach. Wehrmacht rozstrzeliwał oraz dokonywał pogromów, paląc synagogi i mordując żydowskich mieszkańców polskich miast i miasteczek. Ponadto dochodziło również do mordów na polskich żołnierzach, co było wbrew wszelkim zasadom i konwencjom.

Ci, którym się wydawało, że nastąpi powtórka z okupacji w latach wielkiej wojny, mylili się bardzo. Ci Niemcy, którzy głosowali na socjalistyczną partię Adolfa Hitlera, którzy podzielali jego nienawiść do Słowian i Żydów, nie byli już tymi samymi Niemcami z lat 1914–1918. Teraz liczył się tylko Lebensraum, czyli przestrzeń życiowa dla milionów biednych Niemców, „nadludzi", którzy z pełnym oddaniem wykonywali rozkaz Hitlera względem „podludzi": „Bądźcie bez litości! Bądźcie brutalni! 80 milionów ludzi musi dostać to, co im się należy, a należy im się zapewnienie ich egzystencji. Prawo jest po stronie silniejszego. Trzeba postępować z największą surowością".

Złodzieje i barbarzyńcy

W roku 1939 Rzeczpospolita Polska miała 35,1 mln obywateli, w 1946 r. było ich... 23,9 mln. W ciągu siedmiu lat, od 1939 do 1945 r., Polska straciła 11,2 mln obywateli. To są straty demograficzne. Tylko Niemcy przyczynili się do śmierci 5,219 mln Polaków, z których 21% było dziećmi poniżej 10. roku życia.

> BLISKO 200 TYS. POLSKICH DZIECI NIEMCY PORWALI, BY JE ZGERMANIZOWAĆ. ODZYSKANO JEDYNIE 30 TYSIĘCY MALUCHÓW.

Co ponadto? Blisko 200 tys. polskich dzieci Niemcy porwali, by je zgermanizować. Odzyskano jedynie 30 tysięcy maluchów.

Niemcy (tak jak Sowieci) masowo wykorzystywali Polaków jako tanią siłę roboczą. Ponad 2,1 mln naszych rodaków było niemieckimi niewolnikami, którzy pracowali w ponad 200 tys. niemieckich przedsiębiorstw (większość z nich świetnie prosperuje do dzisiaj) i gospodarstw rolnych w III Rzeszy oraz okupowanej Polsce.

„Raport o stratach poniesionych przez Polskę w wyniku agresji i okupacji niemieckiej w czasie II wojny światowej 1939–1945" przygotowany kilka lat temu przez polski parlament dokładnie wylicza nie tylko straty wśród ludności, ale również straty materialne spowodowane przez okupację niemiecką. Całkowita wartość strat materialnych wynosi 797,398 mld zł (196,403 mld dolarów). Są to m.in. zniszczone budynki w miastach i na wsiach, obiekty zabytkowe i sakralne, straty w przemyśle i rolnictwie oraz straty Wojska Polskiego.

Autorzy „Raportu..." obliczyli straty w dobrach polskiej kultury i dziełach sztuki na blisko 20 mld zł. Niemcy z premedytacją niszczyli i kradli. Co rusz media donoszą o zaginionych w czasie II wojny światowej dziełach sztuki, które wypływają na zachodnich aukcjach antykwarycznych. Jednak jest to tylko kropla w morzu tego, co ukradli w Polsce przodkowie współczesnych Niemców i Austriaków.

Nieodwracalne straty to zniszczone archiwa i biblioteki pełne dokumentów, druków, rękopisów i książek. Na przykład tylko w Warszawie w stu procentach Niemcy zniszczyli zbiory Archiwum Skarbowego, Archiwum Oświecenia Publicznego oraz Archiwum Miejskie.

> WSZYSTKIE SKŁADNIKI WARTOŚCI STRAT MATERIALNYCH I DEMOGRAFICZNYCH POLSKI SUMUJĄ SIĘ DO ŁĄCZNEJ KWOTY 6 BLN 220 MLD 609 MLN PLN.

Straty idące w miliardy złotych to również np. te związane z bankowością i ubezpieczeniami oraz Skarbem Państwa. „Wszystkie składniki wartości strat materialnych i demograficznych sumują się do łącznej kwoty polskich strat w wysokości 6 bln 220 mld 609 mln PLN" – piszą autorzy raportu. Powtórzmy tę kwotę: sześć bilionów dwieście dwadzieścia miliardów sześćset dziewięć milionów złotych.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

KIESZONKOWY ATLAS ŚWIATA

Agnieszka Żurek

Bastion Solidarności

Bazylika św. Brygidy w Gdańsku jest najsłynniejszą – obok warszawskiego Sanktuarium pw. św. Stanisława Kostki – świątynią związaną z Solidarnością.

W czasach zniewolenia komunistycznego była dla strajkujących związkowców z Wybrzeża podobną przestrzenią wolności i duchowego wzmocnienia, jaką dla mieszkańców stolicy stworzył na warszawskim Żoliborzu patron Solidarności bł. ks. Jerzy Popiełuszko.

Msza na tydzień przed śmiercią

On sam zresztą także odwiedził kilkukrotnie gdański kościół i wygłaszał homilie podczas Mszy za Ojczyznę. W Bazylice św. Brygidy znajdują się jego relikwie i symboliczny grób, rzeźba autorstwa Wawrzyńca Sampa, która powstała rok po męczeńskiej śmierci bohaterskiego kapłana. – Na tydzień przed śmiercią odprawiał Mszę Świętą ku czci Matki Bożej Fatimskiej. Gdy wraz z kierowcą odjeżdżali z Gdańska, oficerowie Służby Bezpieczeństwa z IV Departamentu MSW w okolicach Tczewa przygotowywali śmiertelny los ks. Jerzemu. Obrzucili samochód kamieniami, mieli przy sobie pojemniki z benzyną, chcieli upozorować wypadek samochodowy. Jednak kierowcy udało się wymanewrować i uciec. Tydzień później atak na ks. Jerzego się powiódł. Został zamordowany – wspominał ks. kanonik Ludwik Kowalski, proboszcz Bazyliki św. Brygidy. Tradycja odprawiania Mszy za Ojczyznę jest w tym kościele żywa do dziś, a myśli bł. ks. Jerzego są przywoływane podczas wygłaszanych wówczas homilii. W parafii tej są organizowane także wystawy historyczne i patriotyczne, upamiętniające zarówno patrona Solidarności, jak i cały antykomunistyczny ruch związkowy.

Najbardziej znanym artefaktem świątyni stał się Bursztynowy Ołtarz Ojczyzny. Jest to największy obiekt wykonany z bursztynu na świecie, trzy razy większy od zaginionej w czasie II wojny światowej tajemniczej Bursztynowej Komnaty. Głównym wykonawcą jego elementów jest Mariusz Drapikowski, gdański artysta bursztynnik, wykonawca wielu dzieł sztuki sakralnej. Ołtarz jest sukcesywnie rozbudowywany o nowe epitafia. Wiele z nich nawiązuje do polskiej historii i powstaje dzięki składkom związkowców i sympatyków Solidarności. „W ramach szerszego projektu «Kwiaty Polskie» na «Bursztynowym Ołtarzu Ojczyzny» w Bazylice św. Brygidy w Gdańsku tworzone są dwie patriotyczne kompozycje odnoszące się do symboliki kwiatu lnu oraz kwiatu rumianku. Pierwsza kompozycja to kwiat lnu jako symbol rzezi wołyńskiej. Druga kompozycja to kwiaty rumianku (rumianu) z dwoma czerwonymi płatkami – symbol martyrologii wsi polskiej upamiętniający masakrę wsi Michniów, gdzie niemieckie siły okupacyjne 12–13 lipca 1943 roku dokonały pacyfikacji wsi, mordując 204 osoby, w tym 54 kobiety i 48 dzieci, z których najmłodsze miało 9 dni – przypomnieli działacze Regionu Gdańskiego NSZZ „Solidarność”. W listopadzie zeszłego roku w Bastionie Solidarności zostało odsłonięte wyjątkowe epitafium legionowe upamiętniające legendarną Pierwszą Brygadę i walkę o niepodległość Polski pod wodzą marszałka Józefa Piłsudskiego. Rzeźba autorstwa Kamila Drapikowskiego przedstawia orła z przedwojennego polskiego godła i została skomponowana z 76 autentycznych szabel legionowych, nawiązując do tradycji niepodległościowej i czynu zbrojnego Legionów Polskich.

> Najbardziej znanym artefaktem świątyni stał się **Bursztynowy Ołtarz Ojczyzny**. Jest to największy obiekt wykonany z bursztynu na świecie, trzy razy większy od Bursztynowej Komnaty.

Wawrzyniec Samp, autor rzeźby upamiętniającej męczeństwo bł. księdza Jerzego, zaprojektował także

eprasa.pl 2b3a1a02cd

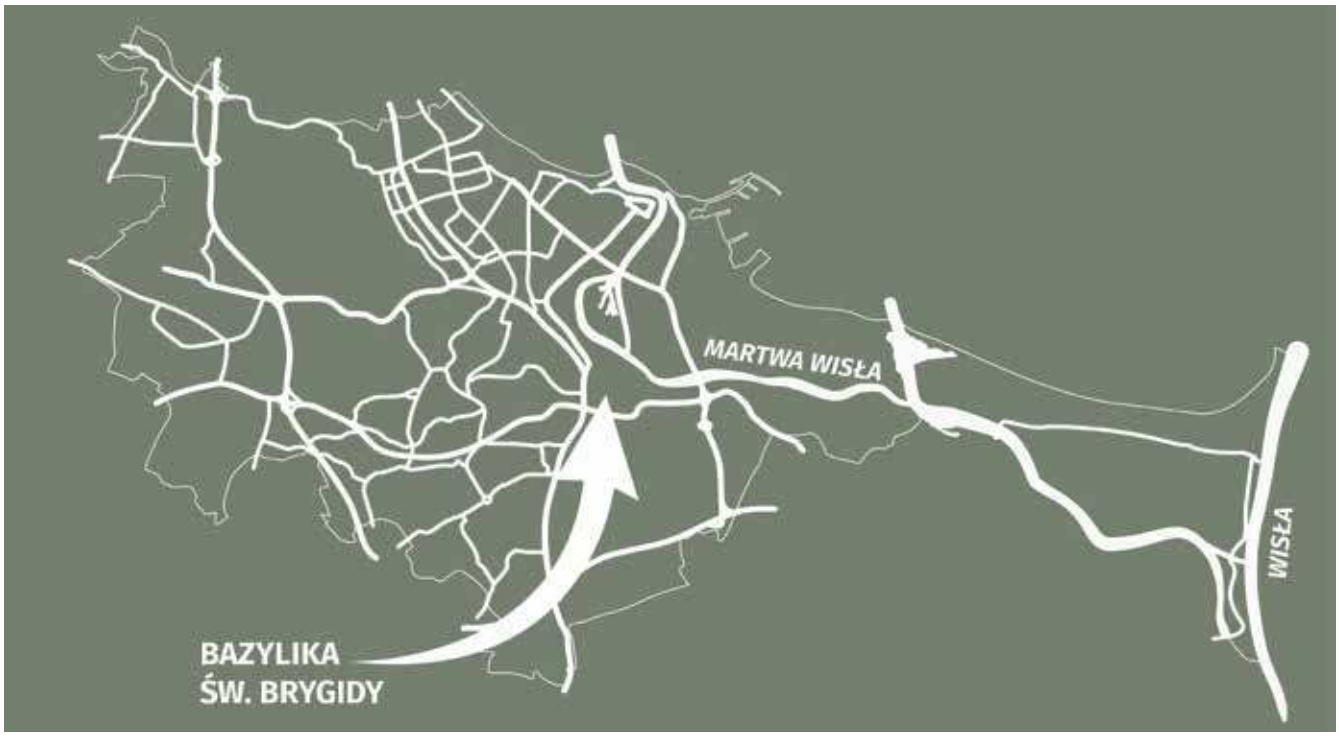

monument poświęcony innemu wielkiemu Polakowi, duchowemu ojcu Solidarności – św. Janowi Pawłowi II. Rzeźba przedstawiająca papieża znajduje się na zewnątrz Bazyliki św. Brygidy, a znajdujący się pod nią napis nawiązuje do roli, jaką Karol Wojtyła odegrał w walce o godność człowieka pracy i przestrzeganie jego praw. Choć Jan Paweł II nie odwiedził parafii św. Brygidy podczas swojej słynnej pielgrzymki do Gdańska w roku 1987, to wygłoszone przez niego kazanie na gdańskiej Zaspie stało się właściwie solidarnościowym manifestem i duchowym fundamentem określającym kierunki i sposoby działania na rzecz dobra wspólnego, do którego do dziś nawiązują związkowcy.

Pan da siłę swojemu ludowi

– Witam i pozdrawiam Gdańsk. Witam w nim to wszystko, czym był dla nas na różnych etapach dziejowej przeszłości, i to, czym stał się w latach ostatnich. Upamiętniają to symboliczne krzyże obok stoczni i napis: „Pan da siłę swojemu ludowi, Pan da swojemu ludowi błogosławieństwo pokoju". Gdańsk: miasto ludzi morza, miasto ludzi pracy, wielkiej pracy. Witam miasto i środowisko, w którym zrodziła się na nowo potrzeba odnowy człowieka przez pracę – mówił papież. Jan Paweł II przypomniał wówczas społeczną naukę Kościoła podkreślającą godność i podmiotowość człowieka, któremu praca ma służyć i którego ma rozwijać, a nie niszczyć i upokarzać. – Prawda, że za pracę trzeba zapłacić, ale to jeszcze nie wszystko. Praca to znaczy człowiek. Człowiek pracujący. Jeśli więc chodzi o sprawiedliwy stosunek między pracą a płacą, to nie można go nigdy dostatecznie określić, jeśli się nie wyjdzie od człowieka jako podmiotu pracy – wskazywał Karol Wojtyła. – Praca nie może być traktowana – nigdy i nigdzie – jako towar, bo człowiek nie może dla człowieka być towarem, ale musi być podmiotem. W pracę wchodzi on poprzez całe swoje człowieczeństwo i całą swą podmiotowość. Praca otwiera w życiu społecznym cały wymiar podmiotowości człowieka, a także podmiotowości społeczeństwa złożonego z ludzi pracujących. Trzeba zatem widzieć wszystkie prawa człowieka w związku z jego pracą i wszystkim czynić zadość – dodawał.

Papież Polak w kazaniu na Zaspie wygłoszonym przecież jeszcze w czasach, kiedy w Polsce obowiązywał ustrój komunistyczny, wyraził właściwie wprost swoje poparcie dla idei związkowej, co dla Solidarności stało się ogromnym duchowym wzmocnieniem, dodając jej działaczom sił i nadziei. – Za pracę ludzką trzeba zapłacić i równocześnie: na pracę człowieka nie sposób odpowiedzieć samą zapłatą. Przecież – jako osoba – jest on nie tylko „wykonawcą", lecz jest współtwórcą dzieła, które powstaje na warsztacie pracy. Ma zatem prawo do stanowienia również o tym warsztacie. Ma prawo do pracowniczej samorządności – czego wyrazem są między

eprasa.pl 2b3a1a02cd



Ołtarz z bursztynu

Fot. Wikipedia

innymi związki zawodowe: „niezależne i samorządne", jak podkreślono właśnie tu, w Gdańsku – przypomniał Karol Wojtyła.

Jego słowa stanowią do dziś ideowy fundament Solidarności, a związkowcy dali wyraz przywiązaniu do tego dziedzictwa także w czasach współczesnych, kiedy ustrój państwowy jest już demokratyczny, ale postać św. Jana Pawła II nadal bywa zaciekle atakowana. W czasie medialnej nagonki na polskiego papieża, która przetoczyła się trzy lata temu przez Polskę, Bastion Solidarności stał się także bastionem pamięci o polskim papieżu i miejscem, z którego popłynął stanowczy głos w jego obronie wyrażony zarówno przez proboszcza bazyliki, jak i związkowców, którzy ogłosili wówczas kampanię obrony dobrego imienia św. Jana Pawła II pod hasłem: „Ty nas obudziłeś, my Cię obronimy".

Dopiero w 1970 roku zaczęto odbudowę świątyni i stopniowe przywracanie jej dawnego kształtu.

Cegła, półmrok i czaszki

Solidarnościowa tożsamość Bazyliki św. Brygidy w Gdańsku, choć zdominowała czasy nam współczesne, stanowi zaledwie niewielką część bogatej i dramatycznej historii samego obiektu. Kościół ten warto zwiedzić nie tylko z uwagi na jego najnowszą historię, ale także tę o wiele starszą, mniej znaną, a równie ciekawą. Świątynia spełnia wszelkie warunki tzw. kościoła klimatycznego, gdzie nasza wyobraźnia może poszaleć, a zmysły z łatwością przeniosą nas w odległe wieki. Wysokie sklepienia, cegła, półmrok i... ponad tysiąc osób pochowanych pod posadzką. Jakby tego było mało, możemy zejść kilka schodków do krypty, gdzie staniemy oko w oko – a właściwie w oczodół – z ludzkimi czaszkami umieszczonymi w odległości na tyle bliskiej od zwiedzających, aby w mig z turystów zamienili się oni w... śmiertelników.

eprasa.pl 2b3a1a02cd



Większość spoczywających w krypcie kości należy do bezimiennych mieszkańców dawnego Gdańska, jednak jedna z nich to umieszczona w specjalnej gablocie relikwia samej patronki świątyni – św. Brygidy Szwedzkiej

Fot. autorka

Większość spoczywających tu kości należy do bezimiennych mieszkańców dawnego Gdańska, jednak jedna z nich to umieszczona w specjalnej gablocie relikwia samej patronki świątyni – św. Brygidy Szwedzkiej. Żyła ona w XIV wieku i była założycielką zakonu brygidek, tercjarką franciszkańską i mistyczką. Nawoływała kler do powrotu do ewangelicznych cnót prostoty i ubóstwa, upowszechniała nabożeństwo rozważań Męki Pańskiej i nie bała się upominać europejskich władców i ostrzegać ich przed boskimi karami, jakie ściągną na siebie i swoje narody, jeśli nie będą przestrzegać zasad sprawiedliwości społecznej. Można zatem powiedzieć, że stała się idealną patronką ruchu związkowego, i przypuszczać, że wspierała i wspiera „z góry" solidarnościowe zmagania o przestrzeganie praw człowieka.

Założony przez nią zakon stał się przykładem prawdziwej „christianitas", której spoiwo stanowiła Ewangelia, a przedstawicielki różnych narodowości (sama Brygida była Szwedką noszącą nazwisko Birgersdotter) tworzyły społeczność w duchu wzajemnego szacunku i pokojowej współpracy. Święta Brygida „odwiedziła" Gdańsk dopiero po swojej śmierci, kiedy to po Pomorzu pielgrzymowały jej relikwie. Zostały one powitane przez Gdańszczan z wielką czcią i z czasem w najstarszej części miasta powstała świątynia i klasztor dla przybyłych ze Szwecji sióstr brygidek. Wkrótce powstał nieopodal także klasztor męski, a oba zgromadzenia zakonne działały prężnie i cieszyły się szacunkiem wśród lokalnych mieszkańców.

Na czas reformacji przypadł okres zawirowań pomiędzy katolikami a lutera-

nami, jednak ostatecznie brygidkom udało się z tego wyjść obronną ręką, a ich zakon cieszył się wzajemną tolerancją pomiędzy siostrami pochodzenia polskiego i niemieckiego. Katastrofą dla działalności sióstr stały się najpierw rozbiory, a następnie kampania napoleońska, podczas której zakonnice zostały wysiedlone ze swojego klasztoru zamienionego przez wojska francuskie w koszary. W samym kościele powstała wówczas fabryka broni. Klasztor nie odzyskał już dawnej świetności, ucierpiał także poważnie podczas inwazji sowieckiej w 1945 roku. W czasach komuny wybuchły tutaj dwa duże pożary. Dopiero w 1970 roku zaczęto odbudowę świątyni i stopniowe przywracanie jej dawnego kształtu. Dzięki ogromnemu wysiłkowi wielu osób dzisiejszy zewnętrzny wygląd kościoła nie odbiega istotnie od przedwojennego. Wobec faktu, iż nie zachowały się dawne plany zagospodarowania wnętrza, zostało ono zaaranżowane od nowa, jednak z poszanowaniem średniowiecznego charakteru budowli, której fundamenty wznoszono w połowie XIV wieku. W 1983 roku kościół ponownie konsekrowano, a w 1992 roku papież Jan Paweł II nadał mu tytuł bazyliki mniejszej. Historia Bastionu Solidarności trwa, a każdy rok dopisuje do niej kolejne rozdziały.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

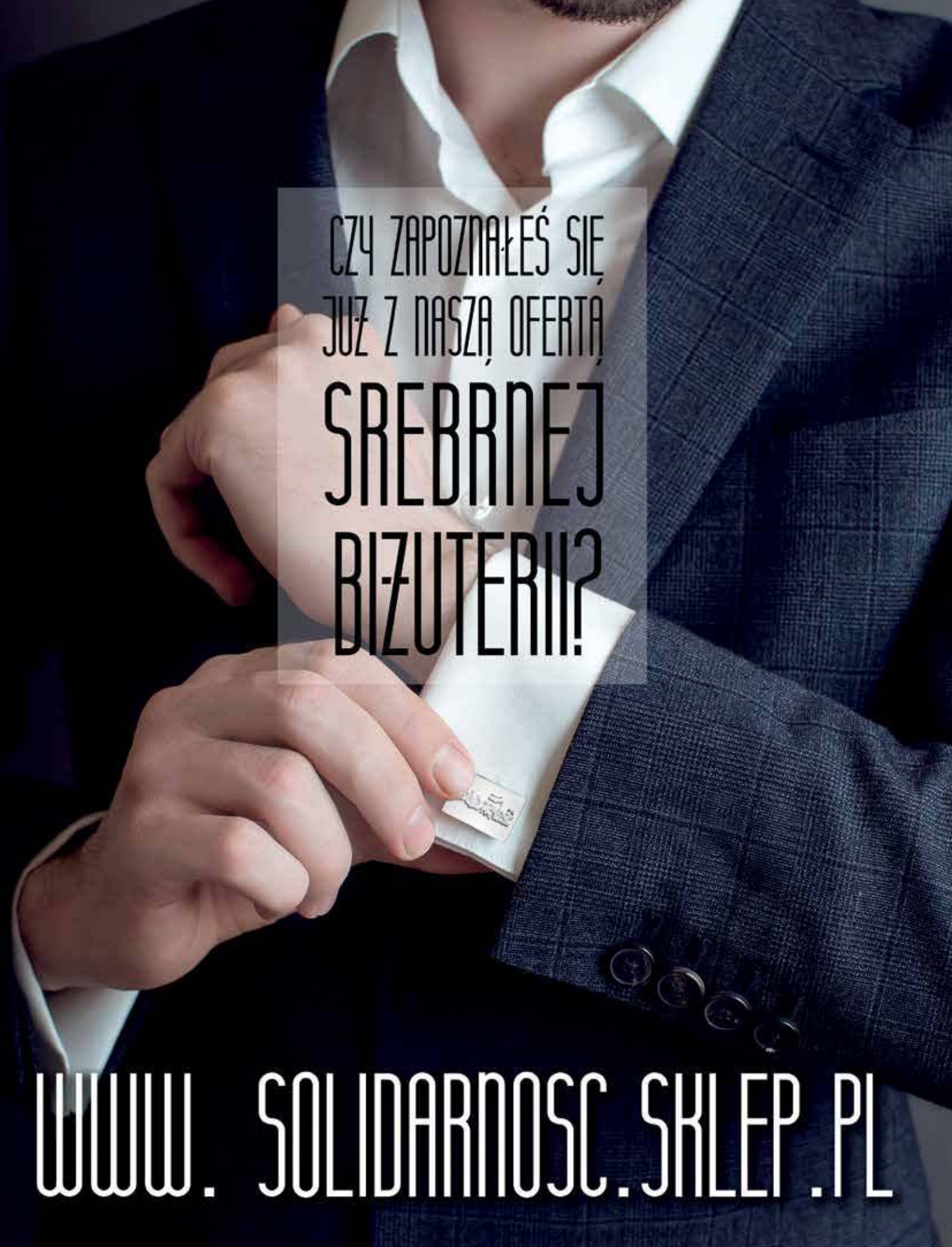
CZY ZAPOZNAŁEŚ SIĘ
JUŻ Z NASZĄ OFERTĄ
SREBRNEJ
BIŻUTERII?
WWW. SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego



Basia: – Panie Tomku, jak to było z tymi meblami do kuchni?

Tomek: – To było chyba w 1985 roku. Pojechaliśmy z mamą na zakupy. Nie mieliśmy jak przetransportować mebli ze sklepu do domu. Nie było żadnego samochodu dostawczego. Stała tylko jedna półciężarówka z kierowcą. I on zgodził się przewieźć meble. Kiedy byliśmy już na miejscu, powiedział, że nie weźmie od nas ani złotówki.

– A co ma z tym wspólnego widoczny na dzisiejszej fotografii budynek, w którym pierwszą siedzibę miał Region Mazowsze NSZZ „Solidarność”?

– Tam w 1981 roku pracował przy rozprowadzaniu prasy wysoki, czarnowłosy chłopak. To był właśnie ten, który kilka lat później kierował pojazdem, który przewiózł nam meble.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl 2b3a1a02cd

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC



Fot. Krzysztof Gonerski

41. Pielgrzymka Energetyków na Jasną Górę

Energetycy, elektrycy i elektronicy po raz 41. przybyli do Matki Boskiej Częstochowskiej. Pielgrzymkę na Jasną Górę w dniach 22–23 sierpnia zorganizowało Katolickie Stowarzyszenie Energetyków „Nazaret” i Krajowe Duszpasterstwo Energetyków. Przed Bazyliką Archikatedralną Świętej Rodziny w Częstochowie pielgrzymów powitał były prezes ENEI i Taurona Paweł Szczeszek, który zwrócił uwagę na poświęcenie, jakie cechuje ludzi wykonujących ten zawód. Mówił, że „kiedy Polska śpi, energetycy czuwają”, a „kiedy inni chronią się przed burzą, energetycy wychodzą, aby usuwać jej skutki”.

Centralnym punktem Pielgrzymki była Msza Święta na jasnogórskim Szczycie, której przewodniczył abp Zbigniew Zieliński: – Niech dane nam będzie w czasie wspólnej modlitwy odkryć wartość naszej pracy, wartość tego sektora, który współtworzymy, by współczesne trendy i tendencje nie odebrały godności wykonywanemu przez nas zawodowi – mówił w kazaniu delegat Konferencji Episkopatu Polski ds. Duszpasterstwa Ludzi Pracy.

Eucharystia, podczas której zawierzono Matce Bożej całe środowisko energetyczne, była punktem kulminacyjnym obchodów Dnia Energetyka. W czasie Mszy podziękowano także za pracę osobom zatrudnionym dotychczas w Elektrowni Dolna Odra – z końcem sierpnia mają tam zostać wyłączone ostatnie bloki węglowe.

Do Częstochowy dotarli także uczestnicy jubileuszowej 20. Rowerowej Pielgrzymki Energetyków, którzy wyruszyli dziewięć dni wcześniej ze Szczecina.

46. ROCZNICA STRAJKU W „FAZOSIE”

W sierpniu 1980 roku pierwszym miejscem na Górnym Śląsku, w którym doszło do zorganizowanego strajku, był tarnowski „Fazos”. W tamtejszej Fabryce Zmechanizowanych Obudów Ścianowych, produkującej urządzenia dla górnictwa, pracowało wówczas przeszło 1300 osób. 21 sierpnia jako pierwsi przerwali pracę robotnicy spawalni, a potem innych wydziałów. Twierdzili, że od kilku miesięcy nie otrzymali od dyrekcji odpowiedzi na stawiane przez nich postulaty, głównie płacowe i socjalne. Kolejnego dnia przyjęli rezolucję popierającą strajkujących na Wybrzeżu i postulat utworzenia wolnych związków zawodowych.

W 46. rocznicę wybuchu strajku w „Fazosie” w Tarnowskich Górach zorganizowano obchody zarówno tamtych wydarzeń, jak i powstania NSZZ „Solidarność”.

eprasa.pl 2b3a1a02cd


Fot. M. Żegliński

„Jesteśmy na ostatniej prostej w zbieraniu 500 tys. podpisów pod wnioskiem referendalnym. Zainteresowanie pielgrzymów naszą inicjatywą jest bardzo duże. Odbyliśmy też wiele interesujących dyskusji. Widać, że świadomość Polaków w sprawie polityki klimatycznej się zmienia”.

Bartłomiej Mickiewicz, wiceprzewodniczący KK „S”, Tysol.pl, 26 sierpnia br.

Rozpoczęły się one od Mszy Świętej w Kościele pw. św. Apostołów Piotra i Pawła, której proboszczem w 1980 r. był ks. prałat Zygmunt Trocha. Duchowny wspierał w tamtym czasie protestujących robotników i pomagał osobom represjonowanym po wprowadzeniu stanu wojennego. W ramach obchodów skwer u zbiegu ulic Opolskiej, Józefa Cebuli i Teofila Królika otrzymał imię ks. Zygmunta Trochy.

Tego dnia delegacje złożyły też kwiaty pod tablicą NSZZ „Solidarność” przy Dzwonnicy Gwarków w obecności pocztów sztandarowych.

– Ksiądz Zygmunt Trocha w trudnych czasach lat 80. zapisał się w naszej pamięci przede wszystkim jako pasterz odwagi oraz niezłomnej solidarności z drugim człowiekiem. Był naszym mentorem. W jego posłudze nie było dystansu, była za to autentyczna troska i życzliwość – mówił podczas obchodów Alfred Bujara, szef handlowej Solidarności.

PIELGRZYMKA DO SANKTUARIUM „MARII ŚNIEŻNEJ”

Jak co roku działacze dolnośląskiej Solidarności przybyli pod szczyt Góry Iglicznej do sanktuarium, w którym króluje Matka Boża czczona jako Przyczyna Naszej Radości „Maria Śnieżna”. W 2022 roku do sanktuarium wprowadzono relikwie bł. ks. Jerzego Popiełuszki. Poświęcono też kilkumetrowy krzyż, w którym znajdowały się kawałki drewna z trumny patrona Solidarności, i wbito go na szczycie Góry Iglicznej.

Związkowcy pielgrzymowali do sanktuarium w sobotę, 22 sierpnia.

Na miejscu wzięli udział we Mszy Świętej, w czasie której homilię wygłosił ks. Sławomir Bartodziej, kustosz sanktuarium, a po Eucharystii czekał na nich piknik w Marianówce przygotowany przez leśników.

TRWA ZBIÓRKA PODPISÓW

Solidarność chce referendum w sprawie Zielonego Ładu. W ubiegłym tygodniu związkowcy z Regionu Częstochowskiego wraz z przewodniczącym Jackiem Strączyńskim i wiceprzewodniczącym Komisji Krajowej „S” Bartłomiejem Mickiewiczem zbierali podpisy na Jasnej Górze. W kilka godzin zebrali prawie tysiąc podpisów.

Szef częstochowskiej Solidarności powiedział, że Solidarność będzie kontynuować zbiórkę w tym miejscu w kolejnych tygodniach: – My tutaj, na Jasnej Górze, jeszcze kilkakrotnie będziemy gościć, bo mamy jeszcze uroczystości sierpniowe, wrześniowe, mamy Pielgrzymkę Ludzi Pracy – wymieniał przewodniczący Strączyński.

M.K.

Kalendarium

Solidarności

3.09.1980 – zostaje podpisane Porozumienie Jastrzębskie, które zakończyło strajk w KWK „Manifest Lipcowy” w Jastrzębiu-Zdroju. Potwierdzono w nim ustalenia z Gdańska, zniesiono 4-brygadowy system pracy w górnictwie, władze zobowiązały się przedstawić Sejmowi projekt obniżenia wieku emerytalnego w górnictwie i spełnić wiele innych postulatów socjalno-bytowych;

5.09.1981 – w gdańskiej Hali „Olivia” rozpoczyna obrady I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „S”;

1.09.1988 – po zakończeniu strajków w lecie 1988 r. jako kontynuacja Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego zostaje utworzony Międzyzakładowy Komitet Organizacyjny „S”;

2.09.2016 – w wieku 88 lat umiera Aleksandra Olszewska, gospodyni Placu Solidarności. Przez ponad 30 lat dbała o to, by panowała tam czystość oraz by pod Pomnikiem Poległych Stoczniowców 1970 nigdy nie brakowało kwiatów. Prowadziła też kiosk z solidarnościowymi pamiątkami.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

Solidarność w PZL-Świdnik apeluje o kryteria premiujące dla krajowych podmiotów

Zarząd Leonardo PZL-Świdnik alarmował, że lipcowy przetarg na śmigłowce dla Lotniczego Pogotowia Ratunkowego był tak skonstruowany, by **uniemożliwić** udział w nim polskiemu producentowi, czyli zakładowi w Świdniku.

Barbara Michałowska

Dzięki naciskowi polskiego producenta i zakładowej Solidarności 21 sierpnia przetarg został unieważniony. Teraz czas na kryteria premiujące dla polskich podmiotów – apeluje Solidarność.

PZL-Świdnik nie mógł wystartować w przetargu

Przypomnijmy: 22 lipca zarząd PZL-Świdnik w liście do przewodniczącego sejmowej Komisji Zdrowia alarmował, że nie miał możliwości złożenia oferty w postępowaniu na zakup śmigłowców ratunkowych dla Lotniczego Pogotowia Ratunkowego.

Autorzy pisma zwrócili szczególną uwagę komisji na fakt, że w ich przekonaniu wymagania techniczne w sposób jednoznaczny limitowały wybór do jednej platformy śmigłowcowej od jednego producenta, a zaproponowana przez niego cena wynosiła według źródeł medialnych dokładnie tyle, ile zaproponował zamawiający. Jak alarmowali przedstawiciele PZL-Świdnik, tożsama sytuacja wydarzyła się w poprzednim postępowaniu, które zostało finalnie unieważnione.

Pismo z analogiczną informacją odnośnie do niezrozumiałych ograniczeń technicznych w rzeczonym postępowaniu przetargowym skierowano również na początku lipca, jeszcze na wstępnym etapie przetargu, do minister zdrowia Jolanty Sobierańskiej-Grendy.

Podkreślono w nim, że PZL-Świdnik jest jedynym polskim producentem wytwarzającym śmigłowce od ponad 75 lat, zatrudnia ok. 3500 pracowników, w tym 650 inżynierów, i współpracuje z około 500 polskimi przedsiębiorstwami. Jak piszą przedstawiciele firmy, do budżetu państwa z racji danin państwowych odprowadza ona rokrocznie ponad 300 mln PLN wypracowanych rękami pracowników. To według autorów pisma jasno świadczy, jak ważnym elementem rozwoju gospodarki, również polskiej służby zdrowia, jest zakład w Świdniku. Ponadto, jak podkreślają, zakład jest zobowiązany do utrzymania zdolności produkcyjnych, napraw sprzętu oraz świadczenia usług w warunkach zagrożenia bezpieczeństwa państwa lub w czasie wojny.

Spółka przedstawiła w odpowiedzi na potrzeby LPR nowoczesne śmigłowce AW169, które aktualnie w znacznej części produkowane są w Polsce, w zakładzie w Świdniku. Śmigłowce te pełnią służbę ratowniczą w wielu krajach na całym świecie. Niestety, jak przekonują, nie było możliwe zaoferowanie ich w ramach przetargu. Jak podkreślają, pozostaje to w sprzeczności z wielokrotnymi deklaracjami premiera RP o potrzebie oparcia systemu zamówień publicznych na polskim potencjale gospodarczym i podmiotach, które działają i zatrudniają pracowników na terenie kraju.

Ani jedno, ani drugie pismo nie przyniosło jednak spodziewanego rezultatu i w przetargu PZL-Świdnik udziału nie wziął. Wystartował w nim jedynie Airbus. Po alarmach ze strony zarządu PZL-Świdnik i zakładowej Solidarności przetarg jednak unieważniono.

> PZL-ŚWIDNIK JEST JEDYNYM POLSKIM PRODUCENTEM WYTWARZAJĄCYM ŚMIGŁOWCE OD PONAD 75 LAT, ZATRUDNIA OK. 3500 PRACOWNIKÓW, W TYM 650 INŻYNIERÓW, I WSPÓŁPRACUJE Z OKOŁO 500 POLSKIMI PRZEDSIĘBIORSTWAMI.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

Jak czytamy w upublicznionej dokumentacji, komisja przetargowa odrzuciła ofertę koncernu Airbus. Była ona jedyną złożoną w tym postępowaniu. Nie podano jednak do publicznej wiadomości szczegółów odrzucenia powyższej oferty.

Solidarność chce, by polskie zmilitaryzowane firmy traktowane były priorytetowo

Zakładowa Solidarność w PZL-Świdnik z kolei od lipca apeluje, by zamówienia kierować do polskich firm, wprowadzając do przetargów specjalne kryteria. Ciągłość realizacji zamówień przez polskie firmy wpływa, jak przekonują, nie tylko na rozwój przemysłu zbrojeniowego, ale również na bezpieczeństwo Polaków.

Pod koniec lipca przewodniczący Solidarności w Leonardo PZL-Świdnik Andrzej Kuchta zaapelował do szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego o podjęcie możliwych działań legislacyjnych i systemowych, które zapewnią kierowanie zamówień na rzecz Sił Zbrojnych RP oraz innych służb stojących na straży bezpieczeństwa państwa i naszych obywateli, w pierwszej kolejności do przedsiębiorstw zlokalizowanych w Polsce, które na mocy obowiązujących przepisów podlegają obowiązkowi militaryzacji i realizacji zadań na rzecz obronności państwa.

„Obecna sytuacja geopolityczna wymaga nie tylko modernizacji technicznej Wojska Polskiego, ale również budowy odpornego i samowystarczalnego zaplecza przemysłowo-gospodarczego w kraju. Przedsiębiorstwa, na które nałożono obowiązki militarne, stanowią fundament bezpieczeństwa państwa w czasie kryzysu i wojny. Firmy te są prawnie zobowiązane do utrzymywania określonych zdolności produkcyjnych, serwisowych i logistycznych, co wiąże się dla nich z ponoszeniem stałych, wysokich kosztów operacyjnych" – napisał przewodniczący Kuchta. W jego opinii każda firma dostarczająca swoje wyroby na rzecz obronności powinna być umieszczona w Planie Zabezpieczenia Potrzeb Sił Zbrojnych (dawniej: Program Mobilizacji Gospodarki – PMG).

„Zdajemy sobie sprawę z tego, że rygor obowiązkowej militaryzacji firmy może wiązać się z pewnymi ograniczeniami w swobodzie działalności gospodarczej. Aktualnie każda zmilitaryzowana firma otrzymuje środki finansowe na utrzymanie mocy produkcyjnych na potrzeby obronności, jednak są to niewielkie środki dla budżetów firm, więc nasz wniosek zmierza w takim kierunku, aby docelowo zmilitaryzowana firma traktowana była priorytetowo przy dokonywaniu zakupów na rzecz obronności" – podkreślił. Jak przekonywał, proponowane rozwiązania przyniosłyby konkretne korzyści, w tym m.in. gotowość na wypadek wojennej procedury przejęcia zarządzania, gwarancję ciągłości dostaw i zwrot środków do budżetu.

„W związku z powyższym wnoszę o przeanalizowanie możliwości wprowadzenia kryteriów premiujących lub obligujących do wyboru podmiotów zmilitaryzowanych w procedurach zakupowych, z zachowaniem wszelkich procedur bezpieczeństwa oraz przepisów prawa zamówień publicznych w obszarze obronności i bezpieczeństwa kraju" – napisał przewodniczący Kuchta.

„Takie kwestie powinny być bezwarunkowym kryterium kierowania zamówień rządowych"

– Przykład przetargu na śmigłowce dla LPR pokazuje dobitnie, jaki kierunek zakupów obrał polski rząd, a analiza dostępnych informacji z innych postępowań zakupowych tylko to potwierdza – mówi nam Andrzej Kuchta.

Przewodniczący zaznacza przy tym, że niezrozumiałe jest, iż w obliczu realnego zagrożenia wojną rząd nie bierze pod uwagę możliwości produkcyjnych w kraju jako warunku bezpieczeństwa państwa.

> OBECNA SYTUACJA GEOPOLITYCZNA WYMAGA NIE TYLKO MODERNIZACJI TECHNICZNEJ WOJSKA POLSKIEGO, ALE RÓWNIEŻ BUDOWY ODPORNEGO I SAMOWYSTARCZALNEGO ZAPLECZA PRZEMYSŁOWO-GOSPODARCZEGO W KRAJU. PRZEDSIĘBIORSTWA, NA KTÓRE NAŁOŻONO OBOWIĄZKI MILITARNE, STANOWIĄ FUNDAMENT BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWA W CZASIE KRYZYSU I WOJNY.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

– Leonardo PZL-Świdnik jest w stanie dostarczyć śmigłowce czy to na potrzeby wojska, czy innych służb, a do tego jest objęte militaryzacją, co w razie potrzeby w ogólnym znaczeniu wiąże się z możliwością przejęcia zarządzania firmą przez państwo. W naszej ocenie takie kwestie powinny być bezwarunkowym kryterium kierowania zamówień rządowych na potrzeby obronności – tłumaczy Andrzej Kuchta.

– To nie jest wyłącznie kwestia gospodarcza. Ciągłość produkcji w polskich zakładach zbrojeniowych oznacza zachowanie tysięcy miejsc pracy, utrzymanie wyspecjalizowanej kadry oraz możliwość szybkiego zwiększenia produkcji w sytuacji kryzysowej. Jeżeli dzisiaj zrezygnujemy z budowania własnych zdolności, jutro możemy zostać uzależnieni od decyzji innych państw i zagranicznych dostawców – podkreśla przewodniczący Mickiewicz.

BEZPIECZEŃSTWO POLSKI ZALEŻY NIE TYLKO OD LICZBY I PARAMETRÓW TECHNICZNYCH KUPOWANEGO UZBROJENIA, LECZ TAKŻE OD POSIADANIA WŁASNYCH ZDOLNOŚCI DO PROJEKTOWANIA, PRODUKCJI, SERWISOWANIA I MODERNIZACJI SPRZĘTU WOJSKOWEGO.

Zdanie przewodniczącego Solidarności w PZL-Świdnik podziela Bartłomiej Mickiewicz, zastępca przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”.

– Jeżeli mówimy o bezpieczeństwie Polski, musimy patrzeć na nie szerzej niż tylko przez pryzmat liczby kupowanych czołgów, samolotów czy systemów rakietowych. Bezpieczeństwo to również zdolność naszego państwa do utrzymania własnego potencjału produkcyjnego, technologicznego i kadrowego – przekonuje.

Jak mówi, rząd, który rzeczywiście dba o bezpieczeństwo Polaków, powinien dbać także o to, aby w Polsce pozostawały kompetencje, technologie, miejsca pracy i zdolności do produkcji uzbrojenia.

„Bezpieczeństwo Polski zależy nie tylko od liczby i parametrów technicznych kupowanego uzbrojenia”

Związkowców i zarząd firmy wsparli ostatnio również członkowie Wojewódzkiej Rady Dialogu Społecznego Województwa Lubelskiego. W swoim stanowisku wskazali, że bezpieczeństwo Polski zależy nie tylko od liczby i parametrów technicznych kupowanego uzbrojenia, lecz także od posiadania własnych zdolności do projektowania, produkcji, serwisowania i modernizacji sprzętu wojskowego. PZL-Świdnik dzięki wieloletniej działalności, kompetencjom konstrukcyjnym, produkcyjnym, badawczo-rozwojowym i serwisowym oraz rozbudowanej sieci krajowych dostawców, jest w dokumencie przedstawiony jako jeden z filarów bezpieczeństwa przemysłowego Polski.

Autorzy stanowiska zwracają uwagę, że zakupy sprzętu produkowanego za granicą mogą zwiększać zależność państwa od zagranicznych dostawców w zakresie części, modernizacji, oprogramowania i obsługi technicznej, a decyzje dotyczące śmigłowców będą miały konsekwencje przez kolejne dekady. Dlatego przy modernizacji sił zbrojnych oraz zakupach dla Policji, Straży Granicznej, Lotniczego Pogotowia Ratunkowego czy Państwowej Straży Pożarnej należy – zdaniem Rady – uwzględniać również wpływ zamówień na krajowe kompetencje przemysłowe, miejsca pracy, gospodarkę i niezależność logistyczną.

„Dlatego Wojewódzka Rada Dialogu Społecznego Województwa Lubelskiego apeluje do Rady Ministrów, Ministerstwa Obrony Narodowej, Ministerstwa Aktywów Państwowych oraz wszystkich instytucji odpowiedzialnych za modernizację techniczną państwa, aby przy podejmowaniu decyzji dotyczących zakupu śmigłowców uwzględniały nie tylko parametry techniczne oferowanych platform, lecz również ich wpływ na bezpieczeństwo gospodarcze, odporność przemysłową, rozwój krajowych kompetencji technologicznych oraz strategiczną niezależność Rzeczypospolitej Polskiej” – czytamy w piśmie.

„Będziemy walczyć do końca”

– Będziemy walczyć do końca o zamówienia, bo nie możemy się zgodzić na to, żeby pieniądze polskich podatników były bezmyślnie kierowane do dostawców, którzy swój sprzęt produkują za granicą i z tego tytułu ani nie tworzą miejsc pracy w Polsce, ani nie transferują do Polski swojego know-how, ani nie odprowadzają podatków do polskiego budżetu – podkreśla Andrzej Kuchta.

eprasa.pl 2b3a1a02cd



GŁOS REGIONU

Rozmowy, których brakuje:
Kod wolności, czyli 46 lat walki z samotnością

Paweł Wysocki, Region Jeleniogórski NSZZ „Solidarność”

Sierpień to dla nas czas szczególny. W tym roku mija dokładnie 46 lat od momentu, gdy robotnicy w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu zmienili bieg historii, powołując do życia NSZZ „Solidarność”. Zazwyczaj przy tej okazji słyszymy wielkie słowa, oglądamy czarno-białe kroniki i składamy kwiaty pod pomnikami. Jednak jako związkowcy musimy dziś uciec od oficjalnego patosu i zadać sobie pytanie bez cenzury: co ta rocznica oznacza dla dwudziestolatka, który właśnie wczoraj podpisał swoją pierwszą umowę o pracę i nie ma pojęcia, czym jest ten związek?

Dla młodego pokolenia wchodzącego na rynek pracy rok 1980 to odległa epoka, niemal tak samo abstrakcyjna jak bitwa pod Grunwaldem. Kiedy słyszą o strajkach i postulatach, często wzruszają ramionami, myśląc, że to historia, która ich nie dotyczy. Żyją w świecie, który wmawia im, że wszystko zależy wyłącznie od nich, a sukces to kwestia ciężkiej pracy, indywidualizmu i budowania własnej marki w internecie. To potężna, współczesna iluzja psychologiczna.

Warto uświadomić młodym jedną, fundamentalną rzecz: robotnicy w 1980 roku nie ryzykowali życia i wolności dla abstrakcyjnych pojęć. Ryzykowali je dlatego, że system, w którym żyli, traktował ich jak bezimienne trybiki w maszynie, odmawiając im prawa do decydowania o własnym losie. Chcieli szacunku, bezpiecznych warunków życia i prawa do zrzeszania się. Dokładnie tego samego, czego dzisiaj – podświadomie – szuka każdy młody człowiek na rynku pracy. Współczesny wolny rynek, choć opakowany w kolorowe reklamy i nowoczesne biurowce, potrafi być tak samo bezduszny jak dawny system. Bez organizacji pracownik wciąż pozostaje sam na sam z potężną machiną korporacyjną.

Musimy zmienić sposób, w jaki opowiadamy naszą historię. Solidarność to nie jest muzeum ani zakurzony sztandar w gablocie. To żywy, działający kod DNA, który 46 lat temu dał pracownikom najpotężniejszą broń: świadomość, że w grupie jest siła. Kiedy młody pracownik zderza się dziś z brakiem wypłaty za nadgodziny, wymuszaniem elastyczności ponad siły czy lekceważeniem jego zdania przez kierownictwo, przeżywa dokładnie ten sam kryzys podmiotowości, który pchnął tamto pokolenie do buntu.

Rocznica powstania związku to idealny moment, by pokazać młodym, że prawa, które dziś uważają za oczywistość – wolne weekendy, płatne urlopy, ochrona zdrowia czy prawo do jawnej dyskusji o zarobkach – nie spadły z nieba. Zostały wywalczone przez ludzi, którzy potrafili wyprostować plecy i zaryzykować. Przynależność do związku dzisiaj to nie jest wyraz nostalgii za przeszłością. To nowoczesny akt odwagi i pragmatyzmu. To zrozumienie, że samotność w pracy to prosta droga do bycia wykorzystanym.

Z tej 46-letniej historii płynie jasny morał dla nas wszystkich. Przyszłość naszego ruchu zależy od tego, czy potrafimy zaszczepić ten gen niezależności w młodych ludziach. Nie możemy czekać, aż sami nas odnajdą.

Przypomnijmy im słowa ks. Jerzego Popiełuszki: „Solidarność to jedność serc, umysłów i rąk zakorzenionych w wielkich ideałach, które są zdolne przemieniać świat”. S

Rubryka „Głos Regionu” ukazuje się cyklicznie w „TS”. Zapraszamy inne regiony NSZZ „Solidarność” do nadsyłania własnych propozycji.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**



Nasi autorzy

Adam Chmielecki (Skarby..., s. 12),
politolog, doktor nauk społecznych, publicysta i autor książek historycznych, dyrektor operacyjny Fundacji Promocji Solidarności.

Ferdynand Fodder (Brand..., s. 32),
we własnej opinii „człowiek czuły i umiarkowany. Wszystkie żarty to żarty, cała reszta to eksperyment społeczny". Mikroblogger aktywny głównie na platformie X (jako@OldGamesAmirite). Dla nas pisze od 2026 roku.

Ludwik Pęzioł (Dzieciofobia, s. 46),
autor podcastu i kanału „Radykalny Pasywista". Na kanale YouTube „Tygodnika Solidarność" prowadzi program „Pokój socjalny" (razem z Krzysztofem Karnkowskim). W Tysolu od roku 2024.

Jan Wróbel (Wielka..., s. 49),
jeden z najbardziej rozpoznawalnych polskich felietonistów. Pisał w takich tytułach jak „Życie", „Dziennik", „Nowe Państwo" czy „Dziennik Gazeta Prawna". Publicystykę od wielu lat łączy z zawodem nauczyciela historii w I Społecznym LO w Warszawie (zwanym potocznie „Bednarską").

Hanna Szymerska (Bułgaria..., s. 42),
publicystka zajmująca się państwami Europy Centralnej, zwłaszcza Węgrami. Mówi po węgiersku i podróżuje często do tego kraju.

Sebastian Reńca (Niemcy..., s. 58),
pisze dla nas od roku 2024. Jego najnowsza powieść „Wykidajło" ukazała się w roku 2025 (wydawnictwo Prozami). Jest to to historia pełna zwrotów akcji, w której wojna wdziera się wszędzie – w życie, sumienie i codzienność. Druga książka „Szuler", wydana w 2025 r. (wydawnictwo Arcana), to reportaż historyczny o „królu" Mojżeszu Merinie i jego poddanych żyjących w gettach Zagłębia Dąbrowskiego podczas niemieckiej okupacji.

PRENUMERATA NA 2026 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 2b3a1a02cd

WYDANIE SPECJALNE

ŻOŁNIERZE WYKLĘCI

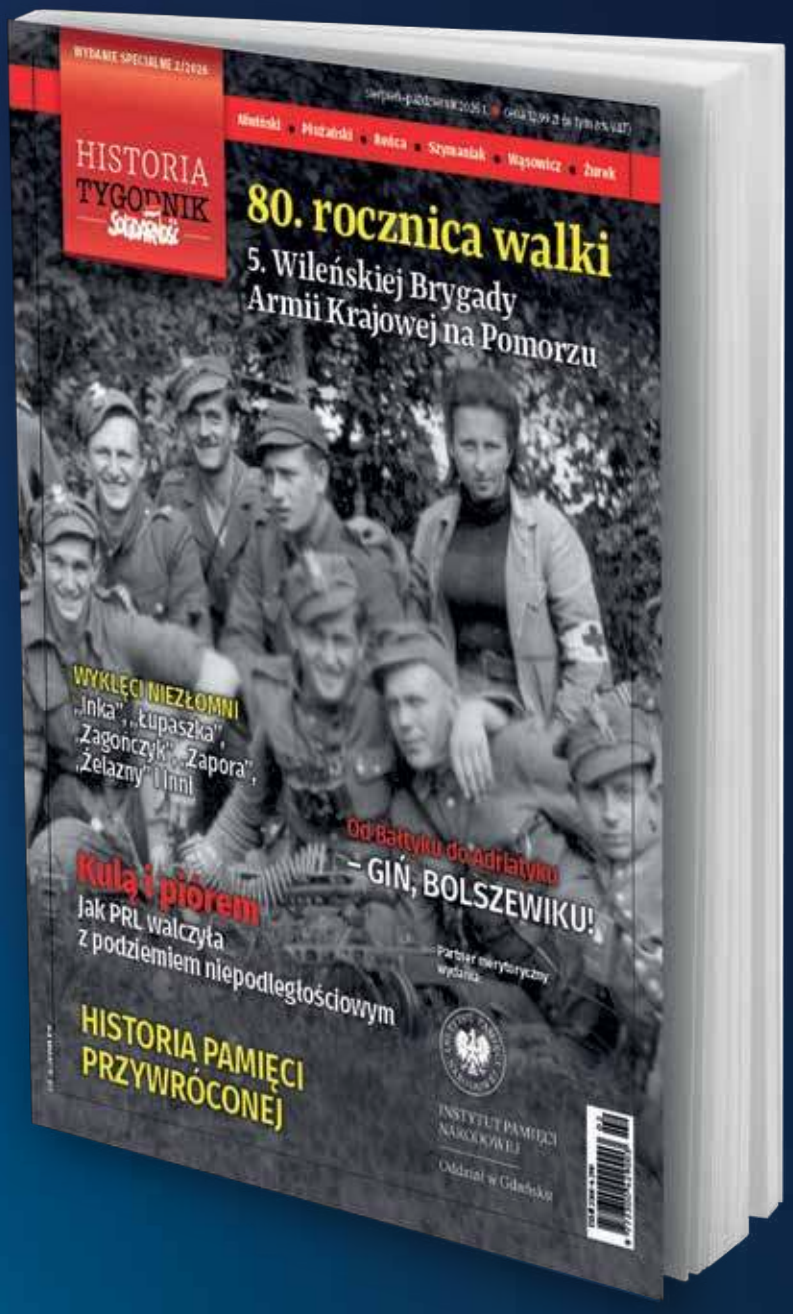

DO KUPIENIA NA WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL,
W EMPIKACH I W WYBRANYCH SALONACH PRASOWYCH

eprasa.pl 2b3a1a02cd

POZNAJ HISTORIĘ SOLIDARNOŚCI

Odwiedź miejsce jej narodzin



Wycieczki po **SALI BHP** z przewodnikiem

BYŁYM STOCZNIOWCEM, UCZESTNIKIEM STRAJKU W 1980 R.

REZERWACJA WYCIECZEK

SALA BHP **salabhp.pl**

eprasa.pl 2b3a1a02cd